

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok II.

Łódź, niedziela 18 listopada 1945 r.

Nr. 17 (24)

EDWARD MARZEC

Z NARODEM WIAŻE RÓWNIEŻ INTERES

Uwagi z wycieczki literatów na Dolny Śląsk

I. ISTOTNE SPOSTRZEŻENIA.

Droga wiodła przez Gliwice, Koźle, Głogówek, Prądnik i Głuchołazy do Nysy (wolałbym „Nisy”), a zatem otarliśmy się o raciborskie, dobijając pod Sudety. Stamtąd skręca do Opola czyli na północny-wschód i przez Strzelce, Bytom z powrotem do Katowic, zamykając objazd. Na trakcie wsie i miasteczka podniszczone wojną dotkliwie. Wsie tamtejsze są murowane i miały elektryczność, czym różnią się od znanych nam w Polsce środkowej. Pola? Zarośnięte. Wschodzą oziminy. Część jednak ziemi, zwłaszcza w pobliżu Nysy szumi szarym rzepakiem i zbożem albo chwaściskiem. Przewodnik twierdzi, że wiele pól jest zaminowanych, ale nie wie dlaczego Niemców nie zatrudniono przy rozminowaniu.

Jest niedziela. W naszych rodzinnych stronach wsie bywają pełne ludzi. Wracają z kościoła. Stoją przed spółdzielnią. Na moście. Przed sklepem. A tu nie widać, albo tylko nieliczne grupki. Jakoś nie wprowadzają nas osiedleńcy zwyczajów z rodzinnej wsi. Nieco wstydliwie wyglądają tu i ówdzie z okna i balkonu białoczerwone chorągiewki. Jeżeli w zagrodach bez proporczyków mieszkają Niemcy, to Polaków jest po wsiach mało.

2. CZESI GORLIWIE SIĘ KRZĄTAJA

Przez granicę idzie przemysł. Czego w Polsce brak — z Czechosłowacji dostarczają chętnie. Mowa tu o chlebie, i o drobiazgach pierwszej potrzeby. Wraz z tym płynie bibuła i ustna agitacja — za czym? Za przynależnością do Czechosłowacji, gdyż tam będzie lepiej. Człowiek prosty, nieświadomiony narodowo, bez wahania skorzysta z usługi i w zamian za to złoży podpis na memoriale domagającym się wcielenia tych ziem do „bratniej” republiki. Naturalnie podpisują się najchętniej i celowo Niemcy, którzy świadomie wygrywają swój los na słowiańskiej niegodzinie.

Polacy udający się urzędowo do Pragi zgodnie stwierdzają, że Czesi nie popuszczają pasa, a przeciwnie. Tymczasem dla propagandy ślą do Polski to, czego sobie w kraju odmawiają. Świadczy to o bardzo perfidnej akcji, która ma doprowadzić do stworzenia odpowiedniej atmosfery przed konferencją pokojową.

Propaganda czeska nie wysila się na poważne argumenty. Drobiazgi: nieuruchomienie sieci elektrycznej na wsi; lichy tabor kolejowy; niedostateczna aprowizacja po stronie polskiej; kilka rabunków. Wystarczy przebąkać, że w Czechach jest zupełnie inaczej, a w umyśle niepewnego obywatela kielkuje i rośnie niechęć do naszego państwa. Wszak to dziecinne chwytły, lecz wywołują odpowiedni nastrój, o który naszym „przyjaciołom” właśnie chodzi.

Skoro takie opowiadania słyszymy, to bez przesady rzecz można, że z naszej strony nie torpeduje się szkodliwej propagandy Czechów. Działacze polscy domagają się prasy z Polski środkowej oraz praktycznego poparcia i opieki póki nie jest późno.

3. MANIFESTOWANIE POLSKOŚCI

Nie wspominamy o zabytkach ani o t. zw. śladach polskości na Śląsku Opolskim. Wydaje nam się, że nie na tym polega osiedlenie i odbudowa ziem odzyskanych. Tego, co tam było, Niemcy mimo wielkie wysiłki nie zeskrobali, toteż sens repolonizacji Śląska nie powinien się zasadzać na odczytywaniu stylu, tablic, pamiątek słowiańskich. Idzie o coś bardziej rzeczowego. — Wzmocnić ludnościowo wsie. Nasycić miasta. Puścić polski handel. Zająć się przemysłem. Za zwiększeniem ludności pójdzie otwarcie polskich jedynie szkół. W kościołach nie może być obcojezycznego programu nabożeństw, jak to widzieliśmy. Z księżmi trzeba współpracować przede wszystkim jako z patriotami. Oto jest polskość Śląska na dziś i na jutro. Wczorajsza przecież nie ulega wątpliwości.

W Głuchołazach witali nas harcerze i powstańcy śląscy. Drobną dzieciarnią z werblami, ze śpiewem, kwiatami i hymnem narodowym wysila się, by wywołać wrażenie polskości w miasteczku. Wzruszeni jesteśmy wszyscy, ale chwilami mnie na przykład ogarniał wstyd, że było tych harcerzy mało, jakkolwiek najmłodszy stanął w szeregu. Po trotuarach spotykam ludzi, którzy mówią po polsku, bo to osiedleńcy — a jednak w manifestacji udziału nie brali.

W Opolu przybiera ona inny charakter, ale przecież więcej sobie cenie tamtą w Głuchołazach. W teatrze literaci dali wieczór autorski. Mówił Wiktor, znany tam z przed wojny, i Bożek „niestrudzony Polak w Niemczech”, który kierował w najtrudniejszych latach ucisku germańskiego Związkiem Polaków. Serdeczne przyjęcie, jakie literatom zgotował prezydent, a na noclegach społeczeństwo opolskie, zobowiązuje nas do rzetelnej współpracy z tymi, którzy od kilku miesięcy wiążą tam życie i porządkują mimo nieprzyjemnych a powszednich niespodzianek.

4. NIECHBY COS, COS — ALE NA WŁASNOŚĆ

Wieźli właśnie mąkę. Skąd? — Ze młyna. Od kogo zboże, czy z własnego gospodarstwa? — Nie. Zarobiłem, bo przyjechałem tu kołami na Śląsk. Przesiedleni z gródeckiego powiatu (koło Lwowa) od maja przebywają w miasteczku Strzelce, gdzie kwatrują z całym przywiezionym inwentarzem. Do dnia dzisiejszego nie otrzymali gospodarstw. Chłopi mający konie lepiej sobie radzą, bo łatwiej tu o dobrą krowę, niż o lichą szkapę.

— Czemu nie siedzicie na gospodarstwie — pytam.

— Hm, nie wiem — odparła śpiewnie babina. — Nie

JOZEF ANDRZEJ FRASIK.

POCHÓD SZTANDARÓW

(Elegia na śmierć W. Witosa).

W Wierchosławicach jesień. Dzień jak zwykle się toczy, jesień tego roku jest naprawdę złota.

Póściel schnie rozwieszona na płotach, dzień jesienny, syjący liśćmi w oczy.

A i polem pod wieczór w brudzy tulony z cicha przemknę zając, głóg u płotu się sroży — pies kąśliwie zaszczeka, spuszczone z obroży, dym polami się wlecze. Czy to ziemia oddycha?

— W Wierchosławicach jesień. Dzień jak zwykle się toczy,

chłopi po pracy, przed chałupami radzą — a on jedzie! Do Wierchosławic go wiodą, prowadzą, w jesienny dzień, syjący liśćmi w oczy:

W sztandar chłopski otulony,
w kłos żytni i głogu cień —
w orny trud ziemią uznojony,
w śliwiny cieni i cieni.

A oto jadą już, od krakowskiego gościńca, wiozą, chłopca wiozą, co nie ugiał się burzom —

służył!
ani cesarskich oczu, — warszawskim „panom” nie służył!
do Wierchosławic, jak króla go wiozą!

Wyszły liście osik naprzeciw.
Oziminy wyrzwały z podorywek.
Wierzby, drżące, jak dzieci,
zapięły listkami siwe.

A tu za nim żołnierze, a tu za nim pieśń robotnicza,
a za nim pióra pawie — Polska szerokopólna!
Nie pogrzeb to. Nie jesienny marsz. Nie polski zwyczaj.
To tylko Ojczyzna żegna Wielkiego Syna. Wolna!

(Elegia napisana nocą 31.10.45 r.)

przydzielili nam w tych stronach. Kazali jechać dalej, choć tu tylu Niemców po wsiach.

— Staraliście się o gospodarstwo? Od maja upłynęło tyle miesięcy.

— Tak. Upłynęło — powiada. — Dalej jechać, kiedyś tu stanęli i strony nam się podobają? Na pustki iść, to tyle, co na dziadostwo, a przecież my u siebie mieli dość chleba, należało nam się dobre gospodarki, nie golizna. I na własność, bo my własne zostawili.

Według opowiadania innych w Strzelcach kwatruje takich rodzin pięćset całe lato. Jesień dobiega końca, a chłopi w miasteczku, jakby na ironię:

— Przykrzy się wam pewnie bez gospodarstwa, coś to za chłopci, którzy by nie tęsknili — zagadałem do innego.

— No, zimę przebidujemy jako — odrzekł spokojnie.

— A na wiosnę co się z wami stanie?

— Wiadomo to? Chyba osiadziemy na wsi, jeżeli Niemców wygonią.

— Dziwna u was cierpliwość. Pola widać nieobsiane, a wy tacy spokojni i handlujący.

Chłop się uśmiechnął pobłaźliwie, jakby mu był zupełnie obcy główny nurt naszej propagandy i rzeczowo odrzekł:

— Są pola i obsiane. W tych okolicach nie jest tak znowu źle, a zresztą myśmy tym niezabranym pustkom i niepooranym wcale nie winni.

Ludzie, o których wspominam, mieszkają pod dachem i marnują czas na zabezpieczenie swym rodzinom chleba do wiosny. W odpowiedziach wyrażanych spokojnie czuć coś ze znużenia i zarazem z nieustępliwości. Nie rwie się żaden łapczywie do ziemi ładajakiej, ale kierowany osobliwą filozofią stawia komuś wyraźne wymagania. Tu mu się gospodarki niemieckie podobają, gdzie indziej nie poleci na niepewne. — Po-czekają, aż Niemców przepędzą, niechby mógł odzyskać to, co stracił. Podgrzewanie patriotyzmu u chłopów nie wyda tych iskier, o jakie wołają w środkowej Polsce plakaty i afisze. Jeżeli państwo ma ziemię zachodnie osiedlić, to zaczynać należy od wsi, lecz filozofię prywatnego interesu chłopów musimy brać w rachubę. Najcenniejszy będzie ten prosty upór. — że właśnie ponemieckie gospodarstwa, a nie inne.

Nie ma większego niebezpieczeństwa, jak pozbawienie chłopów ich przywiązania do ziemi. Przerzucanie transportów, koczowniczy żywot, poniewierka ludźmi, nawykłymi do siedzenia we wsi, nie sprzyja zagospodarowaniu na Zachodzie. Jeżeli w okolicach Strzelc są Niemcy na wsi, to pierwszym obowiązkiem władz jest osadzanie na ich miejscu bezzawodowych chłopów zanim stracą cechy właściwe rolniczemu ich zawodowi do reszty.

Bez chęci obwiniania tamtejszych władz zwracam uwagę na dziwaczność sytuacji kwatrujących rolników. Jeśli od siedmiu miesięcy transport nie znalazł się na gruncie, to coś będzie z jadącymi obecnie zza Buga przesiedleńcami? Albo ktoś przeszkadza, albo ktoś nie potrafi osiedlać wsi na Zachodzie.

5. KTO TAM NIEMIEC?

W Prądniku rozmawiałem z fryzjerem i obydwu nas rozmowa zmęczyła.

Ni po polsku, ni po niemiecku. Tutejszy jest, ale nie Polak. Nawet nie Ślązak — a tutejszy, tu się urodził. Komisja weryfikacyjna łatwo fryzjerowi z Prądnika nie odszuka przynależności narodowej. W tym tkwi ziarno nieporozumień, które i chłopów właśnie dotyczy. Wielu bowiem podniemczonych Polaków skłonni są nasi osiedleńcy uważać hurtem za wrogów.

Łatwiej dogadamy się z rzeczywistym Ślązakiem, który jest akurat piekarzem z zawodu i przebywa w Strzelcach.

(Ciąg dalszy na str. 2-ej).



Rys. St. Cieloch
JÓZEF OZGA-MICHALSKI

JÓZEF OZGA-MICHALSKI, ur. w 1919 r. w Bielnach Kapitulnych koło Łysicy, debiutował jeszcze przed wojną tomem „Gołoborze” z Marianem Sołtyśkiem, Marianem Przedzikiem i Jerzym Krzeczowskim. W roku 1938 wydał „Gadki świętokrzyskie”. Napisał również dwa niedrukowane dotychczas dramaty „Ozga się edukuje” i „Helen”. Ostatnio ukazał się tom jego wierszy „Oberek świętokrzyski”, który omawialiśmy szerzej w 10 (17) numerze „Wiś”.

„Poemat nowosielecki” jest próbą epicko-satyrycznego opisu słynnej uroczyści w Nowosielecach, w której brał udział marsz. Rydz-Śmigły. Wrócono sobie wtedy poważne zmiany w polityce rządu wobec rzesz ludowych. Rzeczywistość nie uczyniła zadość tym nadziejom. Ozga-Michalski stara się w poetyckim skrócie ukazać rzeczywisty układ sytuacji politycznej i społecznej w Polsce w momencie nowosieleckiego zjazdu. Rozmowy marsz. Rydz-Śmigłego z adiutantem i z przywódcami chłopskimi pokazują nacznie jak złudne były wszelkie nadzieje na porozumienie z rodzimym sanacyjnym faszyzmem, w którego mniemaniu nad chłopską manifestacją patriotyczną unosiło się widmo Szeli i groźba rewolucji. Satyryczny charakter poematu podkreśla autor stosowaniem klasycznej formy epickiego opowiadania, świadomą stylizacją, niestety nie zawsze konsekwentnie przeprowadzoną. Jako próba poetyckiej powieści politycznej i jako pierwsza próba epicka utalentowanego poety utwór ten mimo swoich usterek zasługuje niewątpliwie na uwagę.

S. L.

Z narodem wiąże również interes

(Dokończenie ze str. 1-szej).

Opowiada, że jest właśnie Ślązakiem. Snuje o tym wykład dość długi, z czego wynika, że ten człowiek, jak wielu innych, jest w gruncie rzeczy narodowości polskiej, lecz na codzień zwykły Ślązak. Żona? Przechwala się, jak dziecko, bo „chodziła na chór” przed wojną i czytała książki polskie dla podtrzymania się w tej mowie (Zw. Polaków w Niemczech). Zestawiam ich odpowiedzi możliwe logicznie, by stwierdzić: cóż? Ślązak — to Polak.

6. PIONIERSTWO WYTRWAŁOŚCI

Ludzie z pierwszych grup operacyjnych w Opolu zaszli się i mieszkają wygodnie. Meble. Światło. Woda. Inżynier z Warszawy zajmuje się uruchamianiem sieci elektrycznej na pięć powiatów. Jest z pracy zadowolony, bo nie mało kilometrów już zdołał pociągnąć w ruch, a jednak na pytanie o warunki życia i widoki dalszej pracy odpowiada zmęczonym, jak na pioniera tonem. Odpowiada, stawiając pytanie: — Dlaczego się nami więcej nie zajmujecie? I nie czekając na moją z kolei odpowiedź wylicza:

1. Płace i dodatki żywnościowe dla pracujących na ziemiach zachodnich winny być znacznie wyższe, niż w Polsce środkowej. Robotnicy zajmują się handlem zamiast pracą, która nie zapewnia utrzymania.

2. Bez zapewnienia bezpieczeństwa i życia nie rozbudujemy propagandy wyjazdu, bo po pierwszym figlu osadnik czmychnie do domu. Nie zachęcimy chyba nikogo do nadstawiania głowy, którą wyniosł cało z okupacji.

3. Dać mieszkanie, szkło do okien, opał.

Słusznie chyba nazwać możemy inżyniera od sieci „pionierem”. Jest to bowiem człowiek, który mimo trudności na obranym posterunku trwa. Spełnienie trzech zadań, jakie stawia, jest ważne — oczywiście najmniej dla niego. Chodzi tu o stworzenie na zachodzie takich warunków materialnych, by społeczeństwo dostrzegło w wyjeździe korzyść. Patriotyzm jest skutecznym motorem, lecz działa krótko, na co dowodów znajdujemy wiele we wszystkich dziedzinach naszego życia państwowego. Po pierwszym zapale iść musi interes, a już koniecznie — znośne warunki.

JÓZEF OZGA - MICHALSKI.

POEMAT NOWOSIELECKI

(Fragmenty).

Zajaśniało: Zagrali. — Muzyka, o Boże! jakby tam powschodziły pierwsze jasne zorze. Grzmi, ucicha, zdaleka basetla się jurzy — jakby Pan Bóg wziął dłoń i niebo zachmurzył. Z tej i z tamtej poczęte pękają jak kwiaty głosy, strzelają w niebo, wołają wiwaty — a już się rozdymają obłoki sukienne na topolowych nogach, coraz szybkozmienne, uciekają gościńcem wiatropłochę panny przez basy, bębny, skrzypki i chłopskie hosanny. Pozostanie tu jeszcze przy tej polskiej drodze, Strzegąc wiecu chłopskiego na drewnianej nodze, na topolowym szczudle w górze rozzielonym, na wietrze kiwające tej ziemi pokłony — łąkom, polom i ludziom, którzy idą teraz. Trzeba dzisiaj nad nimi dobrze niebo wspierać, by nie spadło na głowy zapalone lontem, pokryte dotąd strzechą — i drewnianym gontem. Dziś wybiegły pod słońca jasne palenisko zakładając pożaru burzliwe ognisko na kopcu usypanym instynktem odwiecznym Wand, Krakusów, Racławic i Nowosieleckich. Sława! Sława! — się rodzi chłopu w sercu na dnie, jak anioł mu skrzydłami na głowę opadnie i przez żyły przeleci dręszcz niesamowity, wstrząsając całym ciałem Wszechrzeczpospolitej.

...Rydz był ledwo tyli,

by nosić buzdygany, narzędzia i znaki i rozstawiać po polach polując na ptaki. — Ale dzisiaj inaczej. Patriarchat chłopski chce natchnąć go, zamienić w obraz częstochowski, zawiesić na kolorach pszenicy i żyta umajonej łakami — jak Rzeczpospolita, która ludowych kwitnie świat rozsiądanym wieńcem od kaczęca żółtego aż po złote żenice, jest jak niebo świętymi chłopami podparta i jacy tam są oni, tyle ona warta! Nie inaczej! Pamiętaj ty, coś wtedy stchórzył! Nie dla ciebie są gromy, oddech wielkiej burzy, który wstaje rankami kołyszący działa, dające sygnał czasem, aby zmartwychwstała ziemia ludom na odzew uderzając w dzwony, śpiewające jak ptactwo, gdy wraca w zagony...

Oto dzisiaj zebrały się chmurami chłopcy. Ziemia huczy, wzbierają rzekami potopy, konie rżą, kopytami dudniące organy, na gościńcach rozdarte płuca na programy, na protesty wołania, których gdy się słucha, budzi się w tobie drugie pół umarłe ducha. Salwa dział gdzieś zagrzmiła, nadleciał adiutant. Kobiety już odeszły, pan Rydz stał u słupa. — Tam strzelają na wiwat, Marszałku, te chłopcy! Zakazalem; tłumaczą — ze szczerej ochoty, — a lonty już trzymali w garściach zapalone i śmiali mi się w oczy, że święto zielone. — Ilu takich? — zapytał. — Tych armat że cztery. — Trudno! — wyrzekł Marszałek, — Chamy — kanonierzy! Złuzować, przez żandarmów oddać do Przemyśla, a jeśli będzie więcej, to ich wszystkich wysłać! — Rozkaz! Co dalej? — zapytał go z bliska. Czego to chamstwo krzyczy, nie zaschło im w pyskach?

Jego już uszy bolały i gdy przyszły baby, zabawił się ścinając im kapustę szpadą. Uprzejmość nie zawadziła, zwłaszcza w tej rebelii i w kraju tego — jak tam? No — Jakuba Szeli. — Tak tłumaczył. Adiutant drżał prawie osiką stojąc na jednej nodze wsparty długą piką. Rzekł wreszcie informując go jednym pytaniem. — Tak, dobrze — ale co się z nami stanie? Buzdyganem się podparł Marszałek, buławą. Czyżby? Panie tam chłopstwo idzie ławą! Czy pan widział zbliska te miejsca świeżokrławie, Gdy pobojujowiska żyją jeszcze i krzyczą do nieba o sławę? Dech zapiera. Ja w miejscu nie mogłem już ustać, Od wiwatów i krzyków otwierałem usta,

jak w okopach, a słowo niemilkące: Witos! powtarza zdaje mi się to rosnące żyto. Słyszysz pan? — O! Jak głosów nowa kanonada bije w niebo i na nas tu prawie upada! I umilkli. A wtedy trzej Piastowie przyszli od zachodu, od rzeki starej Wisły: —

— Pozdrowienia od wiecu chłopskiego przynosimy Lechitom,

wysłani, żeby koniec był już starym zgrzytom, — Tak mówili Gruszka Brunon, wójt Pyrz, Maciej Rataj (ten ostatni był pierwszy, który zaczął swatać) — I przyszliśmy, byście raczyli wziąć udział w kompanii, której na imię lud — lecz nie w chłopomanii. —

Stali cicho. Poblądle miał Rydz białe lice, rękę ruchem nieswoim złożył na szablicę. —

Z dwóch stron łan żyta przechylając rolę kołysał się w południa słonecznym upale.

Chleby kwitły, blawatki niebieskimi oczy flirt wiody z kąkolami, z powojem warkoczy, zaglądając do serca odwiecznym liryzmem, raniąc duszę wspomnieniem, otwierając bliźnię.

Krew spłynęła, ostygła i zamarła w sobie, zajrzeli w swoje oczy, jak umarli w grobie.

— Chłopi chcą, by pan przyszedł już na defiladę, wójt — bohater zasłużył na taką paradę — i ten kopiec jest taki jak kopiec Kościuszki.

My czcimy wielkich ludzi — nie czas na kopciuszki. Maciej Rataj. A potem rzekł słabiej Marszałek

— Słusznie, to nie są rzeczy małe, dobrze, doskonale! — Jestem nawet zdania,

że w Polsce były w modzie takie wiecowania. Szpaki słów, leciały mu wargami skrzydeł z ust, które rzekły w końcu: — Przyjdę

na defiladę i na kopcu Pyrza

będę stał — nakształt może męczeńskiego krzyża —

— Tak to nie! — Brunon Gruszka rzekł, — Pan będzie z nami zawsze szedł!

Tam chłopskie organy wygrały wodza Pan nie wie — wiecie ludzi rodzą!

My sądzimy tym właśnie pospolitym prawem, że z nami zasiądziecie już na jednej ławie. —

Odkładzimy, — rzekł wreszcie stary Maciej Rataj, — niech wódz z ludem, jeśli chce, dzisiaj się

poswata —

albo wojna! Znienacka słuchacza zaskoczył bagnetem wykrzyknika i prosto mu w oczy

popatrzył zaznaczając, że ten cały reżim znów się Jakóba Szeli doczeka i rzezi!

— Odkładzimy! — Jeszcze raz ten wyraz powtórzył już groźnie, jakby piorun wydierał się z burzy.

A zdaleka huczała ziemia już nie lekka! Ciężka pieśń krwią gorącą przez powietrze ciekła.

Odgłosy czasów, dziejów kołysały zbożem, zdawało się podpyływa Ludu zaporozie —

groząc nowym nieznanym nikomu wyrokiem, który jawi się w czynie nagłym czasu skokiem,

— Odkładzimy! — Przyjadę, wojsko i armaty przyjadą ze mną. — To Śmigły, — a Rataj:

— Pan się pozbył nareszcie imion kunktatora i tytułów, jest pan człowiek z lasu, z bora!

To dobrze, wojsko przyjdzie, można posłać gońca, a teraz pan pojedzie z nami w stronę słońca, —

Podniósł głos. — Łaką, drogą goniła muzyka jakby świeższe jechały na polnych konikach,

zrazu cicho brzęczała, aż wraz na nich spadło wielkie basów smyczysko, grabity wahadło,

takt w takt uderza zgrzytnia, łajdaczcy się klarnet, w brzuch bębna bokiem kocim, w brzuszysko

ciężarne

bije wciąż napuszony japo klarnecisty, który twarz ma czerwoną: owoc pełnokrwisty.

Zalecają się skrzypki: smagłostrune cięża po ciarachach bębnekach i po basach zięciach.

Naraz cała, jak była, przed nimi stanęła. i zagrała — Bartoszu, Bartoszu, jeszcze nie zginęła!!!

— Co? — A Polska! Rydz Śmigły do woza szedł, jakby nie wiedział, że była w powozach.

Co? — Na odzew odrzekły grabity wszechstronom, skrzypki muzykookie, gdy ogiery gonią

z Marszałkiem uwięzionym. — Adiutancie, — krzyczy, —

w Nowosielce sprowadzisz działa, pułk konnicy na defiladę, którą... Porwał wiat słowa i konie go poniosły — by zaczął od nowa...

JAN ALEKSANDER KRÓL

W Wierzchosławicach

(Wrażenia i myśli)

Książd mówi.

Mijamy na wąskich uliczkach wsi las sztandarów. Co chwila milczące przywitanie ze znajomym działaczem ludowym. Spod kościółka dołata głos księdza, wzmocony przez megafony. Słyszą go ludzie na łąkach i wzdłuż ostatniej drogi Witosy, która na przestrzeni 100 metrów wiedzie pod młodymi lipami na miejscowy cmentarz.

Książd przemawia językiem, jaki wypracował wiekami Kościół rzymski. Pontyfikalny i patetyczny — niósł w obliczu Boga papieża, królów i dzieje Europy. W tych figurach retorycznych jest rzeczywiście ta wzniosłość i ta przesada, którą można stosować tylko, mówiąc o „wodzach narodu“, a tak napisano na jednej z bram wiodących do Wierzchowic. I jest jeszcze jeden uderzający odcień w przemówieniu księdza, nasz, polski i narodowy, który się z tym pierwszym równie po przez stulecia zstał. Wydaje nam się, jak gdyby to nad trumną Wołodyjowskiego, „Hektora Kamienieckiego“, stał książd Kamiński i wołał:

„Dla Boga! panie Wołodyjowski! Larum grają! Wojna! Nieprzyjacieli w granicach! A ty się nie zrywaj? szabli nie chwytaś, na-koń nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu? Zaliś swej dawnej przepomniat cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz?”

Książd mówił...

„Obywatelu Witosie, czy widziałeś wczoraj tysiące sztandarów? Słyż wszystkimi drogami tu do Ciebie. Czy widzisz jak chylą się teraz przed majestatem dostojństwa Twojej śmierci? Czy słyszysz jak w całej Polsce biją o tej godzinie dzwony? Czy czujesz jak ludu masa wokół Twojej trumny, się kupi?...
— Ślubujemy Ci Mężu Stanu, że na drodze, którą Ty wiodłeś lud, nie ustaniemy, aż Polska nie stanie się wielką i niezależną, a w niej zapanuje równość wszystkich”.

*

Idą dzieci szkolne, pod kościół. Małe dziewczynki z Wierzchosławic i innych wsi. Idą oddziały przysposobienia wojskowego, gimnazjaliści i słuchacze miejscowego Uniwersytetu Ludowego. Sasiada — gospodarza i dobrodziejca swego przyszła ta młodzież zegnać. A ten gospodarz stał również na progu dostojństwa i pił cierpki smak władzy nad narodem. Chociaż go znam tylko z tego, co o nim chłopci mówią i historia opowiada, piastuje w sobie obraz jego szerokiego a rozsądnego rozmachu. Włódarz to podobny do kosiarza wytrawnego, dla którego kosa jest łaskawa, bo potrafi ją w porę wyklepać i doskonale wyostrzyć.

EPOKA WITOSA

Patrzmy w oczy nędzy.

Przesuwamy się wśród tłumów, patrzmy na tych, którzy idą w ostatnim pożegnalnym marszu przed trumną Zmarłego. I trudno się oprzeć wrażeniu. Ileż nędzy wypisanej jest — już nie w stroju, a w twarzach. Chude, ziemiste oblicza. Czyta się jak w otwartej księdze żywota; głód, duszność, chałup i zimno siekające i odmrażające jesieni, zimy i wiosny.

Idą dziewczęta, poprzeraśnięte w proporcjach ciała, to nazbyt ciężkie, to nazbyt wychudzone. Rylec natury rzeźbi ich twarze i postacie tak, jak to czynią nieporadni świątkarze. I my wiemy, że w takich warunkach materialnych i cywilizacyjnych, w jakich była i jest jeszcze wieś, nie zakwitnie filigranowość kibici, lekkość ruchu i delikatny profil. Niechby tu przyszli, ci co mówią o „jednolitej kulturze“ i popatrzeli. Ta — tu na wsi kultura, w ciałach widziana — podobna jest do robotniczej, ale już nie do mieszczańskiej i inteligentkiej. Niechże naród uczyni ją jednolitą! Przed tym się nie wzbraniamy, tego żądamy.

Jest tu jeszcze jedna odmienność, która pozostanie i wówczas, a która nie hańbi ale przynosi honor narodowi — to krzepkość i czerstwość tych starych chłopów rumianych i pomarszczonych jak jabłuszka jesieni. To są znaki narodowe, znaki ziemi, znaki pracujących dla ojczyzny obywateli.

*

Wyrósł z takich warunków, a więc bynajmniej nie z tych, jakie powinny kształtować przyszłego parlamentarzystę, premiera i wodza narodu polskiego. A kiedy odbył poselską i premierowską służbę, widzimy go znów wśród sąsiadów wierzchosławickich, jak konie zaprzęga, aby jechać na jarmark. Bez uszczerbku dla chłopskiej godności zabiera się do nakładania gnoju na wóz, bo trzeba trochę pole narzucić pod ziemiaki. Nie jest to objaw demonstracyjnego uporu, lecz przykład głębokiej naturalności gestu i poczucia równości w narodzie, a jeszcze... do browolnego dzielenia nielekkiego losu swoich braci.

REGIONALIZM

Choć werbel głucho bije, chociaż trumna na wysokości — nie kondukt to przeciąga pogrzebowy. Przed Zmarłym odbywa się przegląd sił chłopskich i dla tych ważny, co żyją.

Pierwszą tu rolę obrzędową pełnią ci w strojach krakowskich. Oni do trumny najbliższy mają dostęp. Chłopi w pawich piórach, w regionalnych kostiumach, jak ich przed 60 laty narodowi ukazali Chałubiński, Witkiewicz, Tetmajer, Wyspiański. Tak po dziś się jeszcze czują i noszą tę chłopskość na sobie, jakby ona od Piasta żywot swój wiodła. Tak ustrojeni otaczają tego, co podmiejski surdut i koszulę bez kołnierzyka nosił. On się kierował praktycznością, oni odświętnością czasu historii, co mija. Jeszcze najbardziej górale w guniach i praktycznych wełnianych portkach wydają się nadal piękni.

Niosą wieńce, z gór — jałowcowe, z lasów — sosnowe, z lubelszczyzny — pszeniczne.

Na sztandarach Matka Boska. Jest i w tym znak czasów, w których cokolwiek się na wsi zaczynało, nie mogło kruchty ominąć. A nie było by to ani złe ani dziwne, gdyby na sztandarach politycznych nie widniały religijne symbole. Tak jak dziwne dla wiernych stałyby się kościelne chorągwie z koniecznymi ludowymi stronnictw. Drzewce sztandarów w krzepkich rękach trzymają najczęściej starzy chłopci. Sasiada i towarzysza zegna przede wszystkim jego pokolenie.

NA KRAKOWSKIM RYNKU

Ksawery Pruszyński w pięknym artykule o Wincentym Witosie (Dziennik Polski — 6 listopad 1945) porównuje pogrzeb Zmarłego z pogrzebem Tadeusza Kościuszki. „Naród zegnał go tak, jak za naszej pamięci a także za pamięci naszych ojców, dziadów i pradziadów nie zegnał w Krakowie nikogo. Jeśli będziemy sięgać myślą wstecz i szukać drugiego takiego właśnie pogrzebu, to znajdziemy go chyba w chwili, kiedy także barwna masa racławickich chłopów wylała jak morze na ulice tego grodu. Istotnie, podobnym pogrzebowi Wincentego Witosy był w tym porównaniu ludowym jedynie pogrzeb Kościuszki”.

Ale ten wielki i honorowy odbył się dopiero w sto lat po śmierci bohatera spod Racławic. A wówczas, kiedy Kościuszko przysięgał na rynku krakowskim, stało parę tysięcy wojska, tysiąc kosynierów i tłum mieszczan, z finansującym powstanie bankierem... Taka była prawda narodowa, w tej liczbie manifestował się wówczas naród polski i jego duch suwerenności.

JAN BOLESŁAW OZÓG

Na powrót Witosy *)

Podnosisz w górę jak berto kostur,
pasiesz i chwytaś na łące pszczoły.
Znowuś na ziemi, słodko tu, prosto,
a w maju pachnie leśna jemiola.

Wierzchosławice, Lekko, śródpolnie,
krowy pod lipą, koń w szkodziu — warchol!
Wszystko to Polska. Zeicha i zwolna
przychodzi wieczór marszałek Marcholt.

Na cmentarz chodzą z soczystą zuchwą,
na sliwy wchodzi, wiśnie ropota —
nagrobne drzewa, a wiatr ci chucha
w czarne jagody — umarłe wota.

I znowu Polska odwraca czoło,
skąd bure orły w pola odruną,
W srebrnych koszulach zmiętych chochołów
błyska z zachodu krowawa tuna.

A ty przy sнопach. Słuchasz z zagrody,
Panie premierze z drualskim otówkim.
Czekamy: Jesteś! W sto samochodów
z orłów i skrzydeł z buta z podkową!

Potrząśnij berłem kańczastej pały,
Z harmonią w sercu ojcie chłopów.
„pośle cesarski“ mistrzu zuchwały,
dumaj i groź, czoło potopu!

Jak belka lodu róża z chochoła:
schwyć ją do oczu, sztandar podaj.
Płotno tej flagi chłopskim stodołom!
Naród wyprowadź z siwych ogrodów!

*) Wiersz napisany po powrocie Witosy z Czechosłowacji w 1939 r. Przedruk z tomu: „Ogier i makołagwa“.

Nie wprowadzajmy w legendę zbyt pośpiesznie i sztucznie tworzonych ogni. Legenda o Witosie rozwinię się sama i tak jak powinna — od dołu, od mas chłopskich. O Kościuszcze budowała się dziesiątkami lat, ale że potężniała — inteligencji artyści właśnie dopiero wtedy i dlatego podjęli jej wątek — od Anczyzewskiego „Kościuszki“ do Panoramy racławickiej Kossaka. I tak to ludowe rozumienie weszło w narodową treść.

Nie będzie to ani poważne ani godne pamięci Zmarłego, jeśli my teraz „dla ludu“ pomnożymy ilość obecnych na pogrzebie i — jak niektóre gazety podają, zaiste arcyfantastyczne cyfry, — ubezpieczaniem legendy okażemy nasz niepokój, a może i niepewność.

To nie o to chodzi, aby mówiąc sto tysięcy upewnić lud o wielkości Witosy. Jak wieś będzie tego sama pewna, jak dojrzeje w niej samouświadomienie, że to „On naród zjednoczył“, że to „On lud unarodowił“, wówczas choćbyśmy dziś pisali rzetelnie o dwudziestu tysiącach, lud w legendzie, pieśniach i pogwarkach będzie miał zawsze liczbę stu tysięcy. O ludu legendę idzie, nie o naszą... gazetową łąkę jednolitości!

DROGA DO WIELKOŚCI

Jakieśmy dotąd czuli naszą wielkość? O — tak: werbel bije monotonnie i wciąż i wciąż, sztandar płynie za sztandarem, wieńce za wieńcem. Już się zdaje, że koniec, a tu jeszcze i jeszcze. Tak wytwarza się zbiorowa emocja przez potęgę liczby; przez jej rozrost na oczach powstaje owo upicie się tłumowi sobą. Chylę głowę przed tym urokiem. Jest elementarny, jest najstarszy z uroków, potęgających świadomość grupową... Ale równocześnie myślę, że w tym holdzie mas zamyka się epoka Witosy. Kiedy on dźwigał myśl do życia narodowego, ten pierwszy powszechny ruch wyrazić się mógł i musiał w goście, przede wszystkim politycznym: wieców i zjazdów, manifestacji i strajków. To był na te czasy jego główny ton, choć dzięki niemu — obok — w młodym pokoleniu w uniwersytetach ludowych, w „Wiciach“, przygotowywały się kadry nie tylko działaczy politycznych, ale również pracowników kultury, a może i pionierów cywilizacji.

Od okresu upominania się o prawa ludu do okresu władania tymi prawami, muszą wieść odpowiednie przygotowania. Chłop rządzący — to nie tylko chłone polityki, to równocześnie chłop, który osobiście organizuje i tworzy kulturę i cywilizację całego narodu.

Bez tego udziału fikcją byłoby jego polityczne władztwo.

Przed kościołem parafialnym, na przeciw trumny stoją wiceprezydenci Krajowej Rady Narodowej, premier Rządu Rzeczypospolitej, generał Wojsk Polskich. Chylą się w ostatnim pokłonie sztandary wszystkich partii politycznych, organizacji zawodowych, społecznych i młodzieży z miast. Cały naród zeszedł się w ich osobach, aby czuło się w tej obecności pełny ciężar historii polskiej, niesionej na barkach chłopskiego wodza.

POWRÓT

Rozchodzą się ludzie. Wspominamy tych młodych wiciarzy, którzy mówili tak: „Myśmy tu z Jarosławia przyszli piechotą, to i piechotą wrócim. W Tarnowie nas gościć chciano, aleśmy nie jedli“. Mówili, a oczy mieli pełne łez.

Jeszcze świerczyzna pachnie. Krzyk gęsi i psów szczekanie przesłaniają milknące echo werbli. Mgła opada coraz gęściej, ludzie w niej toną.

Mówimy:

Znów mgła, jak przed południem, wchodzimy w mgłę.
Znów w mgłę...

W następnym numerze

Wincenty Witos

„O JANIE WIKTORZE“

Do Redakcji tygodnika „Wies“

Tygodnik „Wies“ stał się w tej chwili ważną placówką, skupiając wokół siebie wszystkich najpoważniejszych pisarzy ludowych. Droga po której „Wies“ potępuje jest pokrewna tej, którą obrał „Zdroj“. Dlatego pragniemy nawiązać z Wami bliski i ścisły kontakt. Zapowiedziana w „Zdroju“ kolumna „Wies tworząca“ kasujemy, gdyż „Wies“ stała się w pełni barykadą wsi tworzącej.

Łączymy serdeczne pozdrowienia zespołowe

Józef N. Kłosowski, Redaktor

„Zdroju“

Nad grobem

Przemówienie Jana Wiktora w imieniu
Oddz. Wiejsk. ZZLP na pogrzebie
Wincentego Witos

W latach, kiedy Wincenty Witos przebywał na wygnaniu, tak często słyszałem w izbach, na miedzach, w polu, słowa z ufnością powierzane, poważnych gospodarzy i młodych, przedstawicieli odrodzonej wsi.

— Ludzie wyzierają Witos. Szliby po niego, aby na plecach ponieść od granicy przez całą Polską do Wierchosiławic. Po chatkach chowały sztandary zielone, aby wyciągnąć na powitanie.

Gdy to mówili, to od uśmiechów i spojrzeń radośnie i jaśniej się robiło w tych dniach troski i bólesci i przemocy. Bo dla chłopów Wierchosiławice to środek Polski, a Witos to jej serce i rozum.

Dzisiaj na swoich barkach ponieśli nie żywego Wodza, ale w trumnie, nie zwycięskie sztandary wydobyli, ale spowite w kiry.

Widzieli w nim symbol swego bólu, odwiecznej krzywdy i walki o prawa chłopów, w dzieli w nim wielkiego gospodarza Polski, któremu ster Państwa się przynależy, a zobaczyli martwe ręce, zmordowane, zaciskające krzyż, które tak długo walczyły, tak owocnie pracowały dla chłopów i dla wielkości Polski.

Poezja polska swoim wszechczującym i miłosierdnym sercem wcześniej usłyszała jęk skrzywdzonego chłopów, poczuła jego cierpienia, zrozumiała jego krzywdy, rozkuliła się nad dolą pańszczyźnianego najmity — bandosa, poezja polska zobaczyła i umiowała swoją tkliwość, swoim bólem, rozpaczą i udręką nędzara, ale tak długo nie dostrzegła mocarza, wyrastającego powoli z trudu, z mozołu, z potu, wygrzebującego się niezmordowanie, własną siłą z kamiennej doli.

A takim mocarzem stał się Witos, wytyczył drogę chłopu nie przez łzy, nie przez skargi, jęki, czekanie na cud, ale przez zdobywanie i walkę.

Wszedł z zagonu wyrobniczego, nędzarskiego, aby wstąpić na bezbrzeżny łan Polski. Wszedł z chaty, aby dotrzeć do Polski, która chłopów dotychczas nie znała, która chłopów w zaślepieniu odrzucała, aby ją umiłowac niezmordowaną pracą. Odiął ręce od pluga, aby chwycić ster państwa i walczyć nie tylko o prawa chłopów, ale i wolność narodu.

Witos głosił każdą godziną swego życia, że każdy z nas musi się przyczynić do rozprzestrzenienia duszy ludu, gdyż ono jest rozszerzeniem potęgi Polski, jej mocy, jej bogactwa, jej siły.

Zdawał sobie sprawę, że dojrzałość polityczna chłopów, zespolona ze świadomością narodową, daje niespożyte dowody miłości Ojczyzny, poświęcenia, bohaterstwa godnego stana obok najwspanialszych czynów, jakie zapamiętała historia, jakie uwieczniła legenda.

Polska bez warstw pracujących to organizm bez krwi. Wieś jest głównym zbiornikiem tych sił, olbrzymich możliwości, to też o jej prawa, o jej zdrowie wszyscy muszą dbać w imię wielkości przyszłości naszej. Wspólnymi wysiłkami należy wytworzyć takie warunki, aby warstwa ludowa dała jak najwięcej, jak najhojniej Polsce i w mozołach swoich zdolności przyczyniała się do stworzenia potęgi.

Zadanie trudne, obowiązek ciężki.

Niespożyta, wiekowa zasługa Witos, że na łan polski wkroczył nie wyrobnik pańszczyźniany, skurczony w pokłonie niewolnik, ale gospodarz wolny, z głową podniesioną, którego herbem i pergaminem zlanym potem, którego skuteczną bronią jest poczucie wartości swojej, godności, obowiązku, duma rodowa, świadoma wola czynu.

Ręce chłopów są rękami Ojczyzny i tych rąk nie wolno odpychać czy odrąbywać. Wielkość i potęgę Polski buduje się na milionach pracujących rąk, ale też i na miłości wolnych obywateli. Godność i wolność obywatela najsukuteczniej broni wolności i wielkości Ojczyzny.

I dlatego też ta mogiła nie będzie tylko symbolem przeszłości, przypomnieniem trudów minionych, nie będzie zimnym, martwym sarkofagiem, bo ona żyje dumą zwycięskiego chłopów, jest współtwórcą dziejów, jest budowniczym wolności, opartej na prawie, zniweczeniem krzywd na miłości i sprawiedliwości.

Ta mogiła będzie żyć wielką prawdą życia Wodza narodu, z niej, jako z ogniska wiekowego będą brać chłopów głównie, aby podpalac serca miłością pracy dla narodu i miłością wolności, która jest służbą dla Polski, najtrwalszą podwaliną jej potęgi.

6.11. 1945.

STEFAN LICHANŃSKI

PERSPEKTYWY AUTENTYZMU

Pierwsza książka Ożoga „Wyjazd wnuka” była zapowiedzią nieprzeciętnego talentu i totem — jak na tom debiutancki — zupełnie udatnym. Uderzała jednak w tej książce monotonia tematu, sielankowa impresyjność, skondensowana wprowadzanie i opanowana, ale świadcząca o czysto wrażliwym, nastrojowym stosunku do zewnętrzności. Była w tej książce niewątpliwą troską o wyraz formalny, ale nie było jeszcze wyraźnie zarysowanego światopoglądu poetyckiego.

Autentyzm Ożoga w pierwszym jego zbiorze był jakby naturalną konsekwencją osobowości poetyckiej autora. „Jakby” — bo Ożóg był już i w tym czasie świadomym autentyzmem, ale ze swojej postawy nie wyciągał jeszcze wszystkich konsekwencji. Z autentyzmem łączyła Ożoga podówczas przede wszystkim naturalna skłonność jego talentu a w mniejszej mierze poetycka świadomość, która dopiero kształtowała się i dojrzewała.

Autentyzm jest nie tylko programem czysto literackim, chodzi mu nie tylko o przezwycięzenie w poezji stylizatorstwa i patetycznego deklamatorstwa pomodernistycznego. Autentyzm jest również ideologią określającą moralną postawę pisarza. Nie żyć duchowo ponad stan! — oto postulat autentyzmu. To co wielki francuski pisarz katolicki Mauriac mówił o „oczyszczaniu źródła”, znajduje u nas odpowiednik w programie autentyzmu. Pisarzowi nie wolno poruszać zagadnień, które nie są jego zagadnieniami, nie wolno mu zakłamywać się wewnątrz. Sztuka wymaga czystości ducha, uczciwości intelektualnej i moralnej.

Polskiemu życiu kulturalnemu brak ciągłości. Już dawno narzekał Irzykowski, że dla nas rozwiązania kulturalne zapadają na wschodzie i zachodzie. Modny jest teraz t. zw. „realizm humanistyczny”. Ale gdy jego ideologowie zejść z platformy postulatów polityczno-społecznych, zaczynają błąkać się po omacku i pompacyjnymi frazesami latać dziury swojego programu. Nasz „humanistyczny realizm” jest jedynie zwykłą kopią głoszonego w Sowietach przed laty „realizmu socjalistycznego”, ideologicznym plagiatem, który skazany jest na dwusezonowy żywot przejściowej mody literackiej, żywot hasła-widma, wieczystego postulatów bez szans realizacji.

A wielka szkoda, bo hasło realizmu humanistycznego, to w zasadzie hasło nawrotu do starej a zapoznawanej tak często prawdy, że sztuka jest owocem ludzkiej działalności, a więc — w ostatecznym rachunku — jak człowiek — taka sztuka. W czernikowym programie autentyzmu tkwi inspiracja polskiego realizmu humanistycznego. Trzeba ją tylko rozwinąć i rozbudować. Polski futurizm małpował Marinetti’ego i Majakowskiego zamiast sięgnąć do Wyspiańskiego, polski ekspresjonizm plagiował (zarówno w programach jak i w twórczości) Niemców zamiast szukać inspiracji w żywiłowym wizjonerstwie Micińskiego. Dziś prześlepiały możliwości rozwojowe tkwiące w czernikowym autentyzmie. Jeszcze raz aktualizują się słowa poety o pawiu i papudze narodów.

Możliwe, że sami autentyści nie zdawali sobie jeszcze sprawy w 1939 r. z rozległości perspektyw, jakie otwierały się przed reprezentowanym przez nich kierunkiem. To też znaczenie autentyzmu określiła nie teoria, ale praktyka jego wyznawców. Drugi tom Ożoga^{*)}, wydany tuż przed wojną, był ogniową próbą i poety i samego autentyzmu. Ożóg przezwycięzył sielankową krajobrazowość, ciążącą nad „Wyjazdem wnuka”, zbagacił swoją tematykę i problematykę, dojrzał jako świadomy realizator własnych zamierzeń poetyckich.

„Ogier i makolągwa” nie jest książką równą, wynika to jednak z faktu, że jest to książka i treściowo i formalnie bogatsza niż wygrany na jednej strunie sielankowego liryzmu „Wyjazd wnuka”. Zwracają w tym tomie uwagę wiersze o tendencji politycznej jak „Oda polna”, „Imperialiści”, „Rok 1938”, „Oda na powrót Witos” — wiersze, które inspirowane są raczej przez emocje niż przez jasno skryształizowane idee. Nowością jest również u Ożoga ton katastrofizm, ponurego prorocstwa zbliżającej się zagłady („Oda złowroga”, „Kłatwa”). Charakterystyczne jednak, że katastrofizm Ożoga nie ma w sobie tonu rezygnacji i trwogi, jest w nim jakby wola wyjścia, naprzeciw nieuniknionej grozie, a zarazem twarda pewność ostatecznego triumfu. „Człgi pomsty trysną z naszych kości” — brzmi ostatni wiersz „Ody złowrogiej”, a zapowiadający proroczno zniszczenie Warszawy wiersz „Kłatwa” kończy się:

Bo ziemia i morze i słowa przemina łabędzie,
ale ty nie przeminiesz, — a trwać będziesz!

Nie te jednak wiersze są najważniejszymi pozycjami zbioru. W „Wyjeździe wnuka” krajobraz wiejski żył

niejako własnym życiem, „Jasio organistów” błędził po nim jak medium, za pośrednictwem którego wyraża się immanentna poezja dookólnej rzeczywistości. „Ogier i makolągwa” przynosi wiersze, w których elementy krajobrazu użyte zostają świadomie jako tworzywo, jako materiał, za pomocą układów którego wypowiada się człowiek („Elegia wyssana z szuwaru”, „Ostatnie pieszczoty”, „Żywe pijawki”, „Skrzypce świętego”). Te właśnie wiersze są dokumentem, dowodem poetyckiego zwycięstwa: w nich wyraża się najsilniej zdobycie dystansu wobec tworzywa, przejście z odtwarzania mimowolnie podchwyczonego liryzmu rzeczy i zdarzeń na stwarzanie poetyckiego obrazu z dowolnie wybranych elementów zewnętrzności.

Ożóg mógł łatwo stoczyć się w liryzm rozpoetyzowanej nastrojowości, zdołał jednak uniknąć owego niebezpieczeństwa, choć ślady „źródłowych” skłonności w tym kierunku znaleźć można jeszcze nawet w jego wierszach z ostatnich czasów. To właśnie opanowanie nadmiernego rozliryzowania pozwoliło Ożogowi na sięgnięcie po formy wypowiedzi bardziej skomplikowane i bogate. Trzeba tu wymienić przede wszystkim cały cykl zatytułowany „Ballady”, najpiękniejszą chyba część książki.

W tym właśnie tomie określił Ożóg swoją sytuację w poezji polskiej. Chłodny intelektualistyczny konstruktywizm Przybosa i bierny, jakby lunatyczny liryzm Czechowicza są biegunami, pomiędzy którymi zamyka się poezja Ożoga (a także i innych autentyzów). Ożóg jest stanowczo daleko bliższy Czechowiczowi niż Przybosiowi, ale zajmuje jako poeta stanowisko odrębne. Spojrzenie Czechowicza padało na świat jakby przez wielokolorowe pryzmaty, rzeczywistość rozpyływała się w jego wierszach w zmienny, rozkołysany nurt marzenia. Ożóg widzi świat w jasnym świetle dnia, odrębnia poetycko zastany konkretną rzeczywistością, nie transformując go na poetycką baśń:

Gdy bąk mnie usiłując tknąć różkami czulek,
w ciasnej zabrzmi spiżarni na galerii półek,
z za kolejnych razowców w łagodnym półmroku
słój zobaczy pękaty wjśniowego soku.

Poezja Ożoga ani nie burzy świata, by z jego ruin dźwigać własną konstrukcję rzeczywistości jak u Przybosa, ani też nie rozwiewa go w uroklivą fatamorganę złudzenia, — jak u Czechowicza. Jest to poezja przymierza ze światem, poezja afirmująca rzeczywistość, tropiąca w niej chciwie i zachłannie jej immanentne piękno.

A tam wróćce — dzikiej trześni
podaj rączkę
ode mnie —

mówi poległy żołnierz z ballady Ożoga.

Dyskusja o programach jest jałowa. Każdy program poetycki legitymują dopiero poetyckie osiągnięcia, a nie teoretyczne uzasadnienia. Tom Ożoga udowodnił ważność i płodność autentyzmu w okresie przedwojennym. Dziś rola tego prądu jest chyba jeszcze większa. Leżą przede mną dwa niedrukowane dotąd zbiorki wierszy Ożoga „Muzeum parafialne” i „Nasza włość”. Są one dalszym etapem w rozwoju poety, są nowym poważnym osiągnięciem. Zanim będą miały przyjemność pisać o nich (co oby stało się jak najrychle!), chcę stwierdzić jedno: czasy sztuki-zabawki, sztuki-rozrywki minęły, celem naszym jest humanizacja sztuki, wprowadzenie do niej na nowo człowieka. W dążeniu zaś do odnowionej, humanistycznej sztuki naszych czasów niepodobna wyminąć autentyzmu i nie zwrócić uwagi na poetyckie osiągnięcia jednego z czołowych przedstawicieli tego kierunku — Jana Bolesława Ożoga.

List pisarza chłopskiego

Do Redakcji „Wsi”

Dużo radości i zadowolenia dała mi wiadomość o powstaniu Oddziału Wiejskiego Związku Literatów Polskich na jeździe łódzkiej, na który nie mogłem przybyć (a obserwowałem zjazd warszawski i krakowski i tarcia na nim bez sukcesu). Pracuję nad zaczęta powieścią ze swego rejonu, gromadzę szczegóły a warunki pracy mam trudne, ...a fałdów by trzeba przysłać choć na lat dwa. Bedzie to opis mojej okolicy w zasięgu kilku powiatów podkarpackich. Czeka mnie jeszcze kilkanaście wyjazdów w teren i dokładne zbada nie pewnych zdarzeń, szczegółowych miejsc straceń, egzekucji itd. Dzięki przyznanej subwencji z Ministerstwa Kultury i Sztuki mogę sobie na te wyjazdy pozwolić, bo inaczej nie mógłbym, ale i prócz tego potrzebne mi jest jeszcze dokształcenie literackie.

A koniecznym jest zabrać głos z tego terenu, jaki reprezentuje (południowo-wschodnie polacie Polski), bo o ile mi wiadomo, do tego czasu nie ma na ten okrug przedstawiciela piarstwa chłopskiego, więc na mnie przypada ten trudny obowiązek.

A. Urban

Lutcza, 27.10.45 r.

^{*)} Jan Bolesław Ożóg: „OGIER I MAKOLĄGWA”, Kraków 1939, Biblioteka „Okolicy Poetów” tom 10.

Jan Krokwa

PRAWDA O ŚLĄSKU (Część II)

Piotr Bezrucz — symbol poetyckiego fałszerstwa

Z DYMU STAWIANO SŁUPY...

CIENIE I ZGRZYTY

Aby wykazać, jakimi metodami pracy posługiwali się czescy działacze w swych anektacyjnych wystąpieniach odnośnie Śląska Cieszyńskiego, Frydeckiego, Opawskiego i Hluczyńskiego, zmuszony jestem poświęcić kilka słów ojcu Petra Bezrucza — opawskiemu profesorowi Antoniemu Waszkowi. Działalność literacka Piotra Bezrucza wiąże się bardzo mocno z polityczną działalnością jego ojca, który był pierwszym twórcą tezy o czeskości Śląska Opawskiego. Chcąc zachować w całości swego szkicu, jak najdalej posuniętą obiektywność i dystans, nie podaję na tym miejscu szeregu znanych dowodów historycznych i przyczynków, lecz ograniczam się jedynie do przedstawienia Antoniego Waszka, ojca Bezrucza w oświetleniu autora ustosunkowanego bezwzględnie przyjaźnie względem literacko-politycznej twórczości jego syna, Włodzimierza.

Literat Robert Fuchs, kilkakrotnie wspomina o ojcu poety w swej przedmowie napisanej do drugiego wydania „Śląskich pieśni” w języku niemieckim, jakie w celach propagandystycznych wydano w roku 1937 w Morawskiej Ostrawie. Przedmowa ta wyszła także w osobnej broszurze w języku czeskim p. t. Petr Bezruc — baśnik proti sve vůli (Piotr Bezrucz — poeta przeciw swej woli). W broszurze tej, która jest bezprzykładnym produktem politycznej propagandy, tak pisze Fuchs na str. 10-tej:

„Profesor Waszek, ojciec Bezrucza nie bojuje o niepodległość śląskich Czechów (Wasserpolaaków, Ślązaków, Morawców i Łachów) lecz w swym czasopiśmie i w śląskich korespondencjach, które pisywał do czeskich gazet, do praskiego „Pokroku” do „Olomouckých novin” i brneńskiej „Moravské orlice” — ustawicznie wskazuje na historyczną łączność Śląska z Morawami. Waszek pierwszy propagował hasło czeskośląskie. W myśl ustanowien wiedeńskich ministerstw, dialekt śląski nie posiadał prawa języka literackiego (spisowne reci). Zasługą Waszka było, że ludowi swemu wykazał, iż posiada on literacki język, którym jest czeszczyzna”.

Wysunięcie takiego agitacyjnego hasła, iż językiem literackim ludności śląskiej na Opawskim jest (!) czeszczyzna, potwierdza zupełnie, iż lud ten umiejętnie czechizowano, wykorzystując w sposób niesłowniański i mocno perfidny jego brak pełnego polskiego uświadomienia narodowego. Czechizacja ta na Śląsku Opawskim mogła posiadać nawet pewne wyniki, jeśli zważymy, że prof. Waszek wydawał równocześnie w Opawie od dnia 1 marca 1861 swoje czasopismo p. t. „Opavsky besedník”, które wychodziło przez pięć lat, utwierdzając ludność Śląska Opawskiego w przekonaniu, iż jest ludnością czeską. A ponieważ w tym okresie czasu także władze austriackie nie czyniły żadnych przeszkód przeciwko posługiwaniu się w szkołach językiem czeskim jako wykładowym — obraz czechizacji Śląska Opawskiego posiada swe wyraźne kontury. „Opavsky besedník” zdradza nam także jedną z metod sztucznego wynaradawiania, kiedy dodam, że pismo to w pewnym określonym celu zamieszczało w gwarze łaskiej (czytaj polskiej) — jak pisze Fuchs — wiersze i łaskie pieśni ludowe.

Tu także tkwi jedno z wytłumaczeń, dlaczego działalność Waszka (str. 10) i jego przyjaciół nie była marna!

Charakteryzuje to i inny komentarz:

„Waszek starał się wzmacniać u śląskich Słowian (więc u Czechów? — przyp. mój) świadomość, że są tak wartościowymi członkami narodu na ziemiach Korony czeskiej, jak Czesi i Morawianie” (str. 11).

Albo:

„Swą publicystyczną działalnością przekonywał (Waszek) Ślązaków, że są także Czechosłowianami a więc Morawcami i że wszystkich łączy literacka czeszczyzna” (str. 11).

Nie trzeba nam chyba cytować dalszych wywodów Fuchsa, które pojęte jako czeski eksport propagandystyczny są zbyt niefortunne i właściwie demaskują te tezy polityczne, które wcielono w czyn najpierw podstępem i sprytem a później nawet gwałtem i intrygami dyplomatycznymi.

Nie trzeba nam też prostować owego rozgardiaszu pojęć, którymi z taką lubością posługuje się w swej przedmowie Fuchs, kiedy mówi o rzekomo problematycznej bezdomności narodowej ludności śląskiej, nazywając ją czy to Wasserpolakami, czy Ślązakami, czy też Morawcami lub Łachami! Rzecowy termin może tutaj być tylko jeden: Polacy!

Politycznym kontynuatorem „idei” swego ojca, stał się później jego syn Włodzimierz, pseudonimowy Petr Bezrucz, którego utwory literackie znalazły tak wielki poklask i poparcie w kołach politycznych czeskich realistów z przodującym Masarykiem na czele. Łączność realistów czeskich i ich współpraca z Bezruczem nie jest pozbawiona pewnej pikanterii, jeśli tylko mimochodem wspomnę o tym że Bezrucz w swej twórczości literackiej jest wybitnym antysemitą, zaś Masaryk znany był jako obrońca Żydów, już choćby przez napisanie głośniejszego swego czasu broszury w obronę Hilsnera. Jednakże czescy realisci, którzy święcie aprobowali stanowisko swego przywódcy Masaryka w kwestii żydowskiej, za żadną cenę nie chcieli dostrzec jaskrawości antysemityzmu Bezrucza. Zrozumieć to łatwo, realistom chodziło o polityczny program wypowiediany w wierszach Bezrucza, mimo iż był pozbawiony obiektywności i prawdy historycznej, ale zarazem był atrakcyjną pożywką w programie politycznym, mógł pociągać! Nie tylko realisci czescy czyli Masarykowcy nie chcieli nic słyszeć o antysemityzmie Bezrucza, ale także czescy komuniści w pierwszej republice czesko-słowackiej również stali się gloryfikatorami „Śląskich pieśni”, pomimo, że Bezrucza cechował przez całych dwadzieścia lat niepodległości czeskiej wstręt do komunizmu i Rosji Sowieckiej, mimo, że Bezrucz był jednym z najpoważniejszych filarów czeskiego i antysłowiańskiego szowinizmu narodowego, przypominającego wiernie odbicie czeskiego nacjonalisty Kramarza, zajeżdżającego do Petersburga na narady z carem, ożenionego z księżniczką rosyjską o „rozległych włościach i dobrach na Krymie”. Nie kto inny, tylko właśnie Bezrucz w literaturze czeskiej stał się usposobieniem niemieckiego, politycznego „drangu”. Z okazji 70-lecia Bezrucza, jakie obchodzono hucznie i buńczucznie w roku 1937, wszystkie pisma komunistyczne w Czechosłowacji zamieszczyły sążniste studia i artykuły o „bardzie śląskim” nie cofając się w pewnych wypadkach nawet przed przedrukiem wierszy o tendencji wybitnie antypolskiej i faszystowskiej.

Jednak ta sama prasa czeska, bardzo skrzętnie przemilczała te utwory, które Bezrucz wydał po powstaniu pierwszej republiki czesko-słowackiej, gdzie niedwuznacznie wystąpił przeciwko politycznemu centralizmowi czeskiemu, udając jakoby chciał przekreślić swą pozycję szowinisty i zrehabilitować się za napisanie „Śląskich pieśni”.

IGNACY DASZYŃSKI I WDZIĘCZNOŚĆ BEZRUCZA

Dzięki realistom czeskim, Bezrucz stał się poetą bardzo popularnym i protegowanym przez polityczne sfery czeskie, tak, że w sprawie konfiskaty jego wierszy w „Czasie” — wniesiono nawet w parlamencie wiedeńskim interpelację poselską i utwory skonfiskowane doczekały się immunizacji. Godzi się wspomnieć, że interpelację tę, skierowaną w roku 1902 do austriackiego ministra sprawiedliwości, podpisał także wybitny polski socjalista i trybun mas robotniczych Ignacy Daszyński, który nie zdawał sobie wtenczas prawdopodobnie sprawy, kim jest Piotr Bezrucz i jakimi smutnymi zgłoskami zapisze się to samo nazwisko za kilkanaście lat na ponurej karcie czechizacji kraju śląskiego. Bo któżby wtenczas wierzył, że Czesi zaczną nazywać Śląsk bezprawnie „Bezruczowym krajem”, że na tym samym Śląsku będą prowadzić politykę wynaradawiania z równoczesnym recytowaniem szowinistycznych wierszy o rzekomej czeskości Śląska daleko poza Cieszyn czy nawet Bielsko!

Kto wtenczas mógł przypuszczać, że Czesi napadną podstępem i zbrojnie na polskie ziemie, że na Śląsku zaolziańskim zostanie pobudowane dziesiątki szkół ochrzczonych bardzo często imieniem Bezrucza, że w tych szkołach polskie dzieci będą się musiały uczyć czeskich szowinistycznych wierszy Włodzimierza Waszka? Ze ten sam Piotr Bezrucz, po zbrojnym zajęciu Śląska Cieszyńskiego, po zabójstwie — bez słowa protestu ze strony Polski — Śląska Opawskiego i Hluczyńskiego... napisał jeszcze do literata Roberta Fuchsa list, gdzie skarżył się już po okupacji Zaolzia, że „granice republiki czesko-słowackiej są godne płaczu” (str. 11), i że republika czesko-słowacka nie miała się zrzec reszty Śląska na korzyść Polski!

W ŻYŁACH MOICH PULSUJE KREW ZDRAJCY!

W swej broszurze, Robert Fuchs (str. 42), przytacza wypowiedź Bezrucza, który powiada o sobie, że wyrósł z zdradzieckiej krwi. Przyznanie to jest

bardzo trafne i bardzo aktualne w rozpatrywaniu literackiej działalności tegoż poety. Nikt się prawdopodobnie z Czechów nie spodziewał, że ten sam Bezrucz, który będzie brał żywy udział w akcji plebiscytowej na Śląsku Cieszyńskim — co dyskretnie pomijają wszelkie publikacje czeskie — (gdzie w czasie przedplebiscytowym, bo do plebiscytu nie doszło, prowadził agitację np. dłuższy czas w Trzyńcu) napisze za kilka lat skromną broszurę p. t. „Morawska ziemia, morawska mowa — Republika przed świętym Piotrem”, gdzie w sposób nieoczekiwany i bardzo gwałtowny zaatakuję praski centralizm rządowy, gdzie wypisze nagłe na swym poetyckim sztandarze hasło separatyzmu i oświadczy się za przyznaniem autonomii Słowakom i ziemiom śląskim, gdzie wyraźnie potępi wtedy czechizacyjne stosowane na Śląsku Cieszyńskim i daleko poza jego granicami.

Nie wiemy, jakie to powody zmusiły Bezrucza do wydania owej broszury pod jeszcze innym pseudonimem, jakim jest Kuba Stópięronik. W gwarze śląskiej wyraz pierón oznacza człowieka odważnego i zdecydowanego. Jak można wywnioskować z posłuszenia się takim pseudonimem jak „stopięronik”, Bezrucz chciał prawdopodobnie dać do zrozumienia, iż to wszystko, co napisał w swej broszurze nie jest osamotnionym wynurzeniem jakiejś jednostki, ale że owa wypowiedź jest jakby gromadnym chórem i oburzeniem tytanicznych stu pierónów! Potwierdzi to zresztą Bezrucz w jednym ze swych wierszy, opublikowanych w czasie późniejszym.

NIE TAK PANOWIE Z CZECHI!

W pierwszej części swej broszury, Bezrucz z niesłychaną ironią kpi w najlepsze z Czechów, którzy w swym hegemonicznym zapędzie nie omieszkali nawet sprofanować starych ludowych nazw różnych miejscowości, osiedli itp. na Śląsku, zastępując nazwy te czeskimi nowotworami językowymi. Słowem rozpoczęto językowe czechizowanie wszystkiego na Śląsku, aby tylko upodobnić prapolskość ziem śląskich „do mentalności językowego charakteru czeskiego... do owych „panów z Czech” pod adresem których z wyrzutem i wcale nie ukrywając nienawiścią bardzo często powtarza Bezrucz: „nie tak, panowie z Czech!” Wyróżając się w ten sposób o Czechach, autor „Śląskich pieśni” przyznaje się, iż jest separatystą — Morawcem, czymś odrębnym narodowo od Czechów. W wspomnianej broszurze Bezrucza domniemu instykt przeczuwania, że na Śląsku i Morawach musi dojść prędzej czy później do innej organizacji życia politycznego, do stworzenia innych warunków narodowego bytowania, gdyż ludność na Śląsku i znacznym obszarze Moraw nie jest ludnością czeską, jak pierwotnie przypuszczał Bezrucz, lecz, że lud ten oddziela od Czechów zasadnicza sprawa: język! Dlatego też najgwałtowniejszy szturm w swej broszurze, skierował Waszek przeciwko czechizowaniu języka tubylców, wypowiadając swą niechęć zawsze dobitnie:

„...gdzie tylko chodzi o to, aby niszczyc lub psuc — jak powiada śląski lud — morawską mowę, to panowie z Czech wnet się znajdą. Zaprowadzili monstra Krnov, Karwin, Hrabinu zamiast właściwego brzmienia Karniow, Karwina, Hrabyn itd.”

Piętnuje w swej broszurze Bezrucz i zarazem z gorącą wolą:

„Od takich zachodnich kulturregerów ochroń nas, o Panie! A w ślad za takim powiedzeniem, ten sam poeta przytacza modlitwę, rzekomo bezimennego poety, która brzmi:

Modlimet se: Prahy
chran nas Jesu Kriste,
my moravsti hrisni,
my seperatiste! *)

Piotr Bezrucz nie poprzestaje na cytowaniu powyższego hasła, lecz idzie dalej, i nie zawahał się opublikować i innych stwierdzeń:

„Morawski lud na Śląsku i we wschodniej Morawie nazywa (czeski) „hostinec” pięknie: hospoda pod Smrkem, Pod Lipu, Pod Dubem, Pod Jeseniem (Przybor), Pod Koniem, Pod Wolem — p. gospodźka Kaszna z Ostrożej ulicy w Opawie, nazywała swą gospodę po starodawnemu: Pod Trzemi Trzesniami. Zaraz jednak wytknięto jej to w gazetach, zaś restauracja ta nazywa się obecnie „U tri tresni” a to dlatego, ponieważ w Czechach powiada się: „u lipy”, u kone, i t.p.

*) Ze względu na brak odpowiednich znaków w kompletach czonek podajemy wszystkie cytaty z języka czeskiego bez akcentów (Redakcja).

(Dalszy ciąg na str. 6-jej).

Prawda o Śląsku

(Dokończenie ze str. 5-ej).

Pisząc o tym zapominał jednak Bezrucz dodać, że właśnie forma językowa „pod koniem, pod wołem” itd. jest niczym więcej tylko wyrażeniem polskim! Autor, który kiedyś pisał o „stu tysiącach popolszczonych Morawców przed Cieszyńskiem, mimowoli po kilkunastu latach przyznaje polskość Śląska Opawskiego (sto tysięcy nas poniemczyli!) — jak nawet nie przystało na tak szowinistycznego Czecha — Bezrucz wyraźnie i obiektywnie tej polskości broni, dyskredytując dawny fałsz polityczny swych „Śląskich pieśni”. W związku z czechizowaniem prapolskich gwar śląskich, Waszek atakuje zarazem centralizm praski:

„Położenie Pragi najmniej usposabia do tego, aby Praga była głównym miastem republiki. Precz z centralizmem! Słowacy nie ustąpią dopóki nie otrzymają autonomii w ramach republiki. Podobnie będzie przedstawiała się sprawa z Rusią Podkarpacą. Kto wybojuje autonomię dla ziem morawskich?”

Przeczytaj sobie czytelniku książkę pana z Czech, który napisał powieść „Granice”. Autor tej powieści chciałby „gromami i błyskawicami, zniszczyć jedwabne narzecze beskidzkie. Jemu podobni nauczyciele z Czech, którzy do nas przyszli, męczą beskidzkie dzieci, aby ich odnauczyć polskiego akcentu i krótkich samogłosek. Nauczyciela Feliksa drażni w „Pamiętniku” Macierzy Misteckiej polski akcent ludności frynsztackiej” (Frynsztat pod Radchoscą!!!).

„Autor powieści „Kresy” (znany szowinistyczny autor czeski Sokol Tuma — przyp. mój) klnie na gwarę cieszyńską — niech Bóg broni!”

Krajowy inspektorat szkolny urodzony w Czechach, molestował śląskich nauczycieli, żądając, aby ci wyeliminowali „polskie technienie” z mowy narodu. Nieszczęśliwi nauczyciele mówili także „po naszymu”.

Te cytaty z książki Bezrucza najlepiej wskazują, gdzie to wszędzie Polacy zamieszkiwali, gdzie wszędzie ich czechizowano i gdzie likwidowano owo „technienie polskie”. Nie jest to tylko teren Zaolzia, ale jak już powiedziałem granica ta jest znacznie dalsza. Jeśli chodzi o polską granicę językową między ziemiami śląskimi a Morawami (Hana), to ciągnęła się ona w pobliżu dzisiejszych Hranic (Granice) na Morawie, o czym zresztą świadczą sama nazwa tegoż miasta. Zapomniała Polska przed rokiem 1939 o umierającej polskości na Śląsku Opawskim i Hucyńskim, zapamiętała jedynie dzielnie odpierające cudzy napór... Zaolzie!

Piotr Bezrucz widząc coraz większe bankructwo swych tez politycznych, przekonywując się coraz mocniej o tym bankructwie w pierwszej wolnej republice czeskiej, postanowił uratować swój honor narodowego barda śląskiego przez stworzenie nowej ideologii, jaką się miał stać jego autorstwa separatyzm mitycznie nazwanych „Morawców” — niestety i taka polityczna „idea” nie poparta żadnym autorem dawnej czy też współczesnej prawdy życiowej i historycznej, jeśli chodzi o ziemię śląską, stała się jedynie wtórnym tragicznym błędem czeskiego poety nienawiści słowiańskiej-Petra Bezrucza.

A BYŁO TO W ROKU 1945...

Książka Bezrucza „Morawska ziemia...” przedko zniknęła z obiegu księgarskiego. Drugie wydanie nie wyszło. Naddziały ciężkie lata dla republiki. Na Zaolziu lud polski notował z każdym rokiem większe ofiary na ołtarzu wynarodowienia... Wybuchła wojna, tysiące Polaków z Zaolzia powlokło Gestapo do więzień i obozów koncentracyjnych. I przez tych sześć lat trwał bój o Polskę na Zaolziu! Bój nierówny i krwawy!

A kiedy w maju br. wywieszono na Zaolziu polskie flagi i polskie godła państwowe... nagle zjawili się Czesi. Tysiącami ciągnęli na Zaolzie. Rozpoczęto znowu okupację czeską nieszczęśliwej ziemi cieszyńskiej. Terror germański zastąpiony został słowiańskim. Tak... to „panowie z Czech” przybyli rządzić, kiedy wroga już nie było!

Zagarnięto Zaolzie... to mało, zaczęto wołać o Raciborz, Opole, Wrocław, Wałbrzych... ciągle pisało o tym czeskie gazety, dudniło o tym czeskie radio!

Bracia... czy nieprzyjaciele?

Na Śląsku Opawskim, na Śląsku Hucyńskim był kiedyś lud, który nazywali Czesi Wasserpolkami, Lachami...

Piotr Bezrucz otrzymał w roku 1945 tytuł narodowego poety! Tytanicznych sto pieronów śląskich, jednego wieczora śpiewało na pasterczej ligawce: Znam tylko jeden Śląsk i wszystkie jego ziemie, Śląsk jest centralnym zagadnieniem Rzeczypospolitej Polskiej!

Jan Krokwa.

Leon Pokora

Jak próżniocysko ciekim twórcym został

Opowiadanie Leona Pokory jest charakterystyczne jako protest młodego chłopca przeciwko swoistemu konserwatyzmowi jego klasy. Tak długo wmawiano w chłopca przywiązanie do roli i do „stanu kmięcego”, aż chłop te wmówienia zaczął brać zupełnie serio. Dziś wiemy dobrze, że rolnictwo nie może być jedynym zawodem chłopca i że uleganie starym nałogom myślowym i obyczajowym jest społecznie równie szkodliwe jak otwarty reakcjonizm.

Zartobliwym tonem i użyciem gwary podkreśla autor anachronizm świata starochołopskich mniemań i uprzedzeń. Nowa i śmiała myśl przewodnia opowiadania Pokory zasługuje na uwagę w tym stopniu, że możemy wybaczyć autorowi usterki artystyczne jego utworu.

(REDAKCJA)

Jak można, ludzie kochane, robić w tym polu! Żodny nie widze jo tu uciechy... Słońce cie spryca, dyszcz osika albo i zciapie nieroz, a cóż z tego, cóż?

Nic. Zmajstrujesz coś ciekę, albo co, rzecz nową, jakąś na świecie... Pycioj w ty świnty zimę, rób jedno i to samo — od pocztunków świata. Nikt cię nie pochwoi, nie powie ci, ot zuch, wymysloc! — mawiał tak se cieggiem Józek Ślusarski, gdy go kto doganiał do cepów, widel, cy pług. A kto go tam słuchał! Wiadomo, próżniok od pocudu świata, robota się mu kucy, to i zmyko a mamroto. Żeby to mamroto a szedł, jak to robi niejedyn, to bzyk jeszcze — ale te juhe nie naprowdzińke nie wystyńiłeś do roboty! Chyba — że napocin tylko i broi się za drugą, by ją znów kidnąć. Już brała żalność patrzeć na jego robotę! Łaził jak ta mucha w mazi, przeciungoł się, ziwał, krzywił — a ciungim mamrotał, jakby to Bóg — wijak cińżko było. Kuźdyn nie chcioł z nim robić, bo jak zoenie kawynkać, molestować, to bierze się wręście to do serca, zacyno słuchać, cy słunice parzy, a snopek wozy — aż bedzie wozył jakby z ołowiu był — i kuźdyn ma chrape se lidz albo i wioć od roboty; na śmich całyj wsi! Bracio jego, robotne chłopcy, długo nie dawali mu abkadusu, chcieli go nawrócić na porzuntnego chłopca, ale popatrzyli że go mynceu jak diabli dusę w smole — i nie mieli sił słuchać wręście jego wyrzykań. Leżoł więc sobie Józik gdzie na sianie, albo i w piosecu za stodołą, gdzie było nojciepli — ziwoł, przeciungoł się, społ, społ bez przeryw. Kłuo to ludzi w ocy, bo to i nie jedyn chłopak dawoł przytyk swymu rodzicowi, że jeń jak kuń tyn w szli, a innym to się lubo powodzi: radzono więc staremu Ślusarskiemu by odpiun paska i werznuł mu na gołą. Ale stary nie chcioł robić jarmarku, przed śmiercią, a wiedziol, że jak amyn w pocirzu, nie pomoże to huncwołowi, więc molestował, przytakiwoł, urzykoł, wie jakiego hołysia wychowol, że go za młodo nie utopiul, ale wręście dodawol: A niech ta! Ja za niego płakoł nie bede! Póki żyje dum mu żryć, pózni niech zdychol, kieł nie chce pracować. I tak szedł sobie czas, Józik staroł się z kawalerym, ale poprowdził to mało się odminiul. Łaził po lesie, wiwurki straszol, ziwoł i społ, nie go nie cieszyło ani obchodziło. „Un jest dopiro szczyńśliwy”, urzykały chłopoki, co to zapordane były w robocie, zaharowane jak te żydowskie skapy. Ale Józikowi śnać nie widziolo się i na swobodzie, bo roz, jakosić na jesieni — przysed do ojca, pocałowol go i mowi jak nie: „Idę sie wisać”. Ojciec ozdziwiul chape, przeżegnol się szeroko i... jak odposze paska! jak zacnie go łojć gđzi popadło, wykrzykiwać jak wściekły: zreś, łazis swobodnie, wisać się chcesz nicpuniu! Takiś, jo cie pozajme... Dum ci weiry, o dum! Odgunie ci muchy... Józik poszed potamomulny — spać. Nic nie pomogło rzucanie się starego, bo teraz był chłopym starym, to i co się tam — bał kogo! Ze starego, lektryka wylezła, pomiarkowol że taki grzyśnik to co! może i jego wyprawić na lepszy świat... I było znów jakieś easy cicho. Józek jod razym z innymi, ubirol się — a o robocie ani dudu. Jedynu robotu były spacery do lasu, gdzie się wałul pod świerk i społ w mechu — pózni wyciungoł kliszcze. Roz, idzie jak zwykle miedzu i widzi że jego brat loto po polu spopuniuny jak mysza; znosił snopki w mendle. Popatrzuł się, popatrzuł Józik, przystanał obok brata i pyto: powidz Tadek, cego ty lotosz, jakby się paliło?

— Jakto cego? Snopki składom!

— To cego nie nosisz je wolno?

— Idźże gamuniu jedyn! Bedziesz tu mnie zaba-

wioł! Muszę się zwijać, by wyrobić za siebie i na ciebie — drania!

— O wa! nie rób. Ale chce jo się spytać: Jak ty człowieku możesz tak zawdy robić, gdy wiesz że ci z tego nic sie nie zawiąże... Wytrzymać takie myncarnie?!

— Myncarnia — snopki nosić? Samo nie przyjdzie, o nie. Ale sie to zawiąże, że i ty i jo mowa co żryć! Trzeba jeść — trzeba robić. Nic sobie nie krzywduje, — To jo to tyż wim. Wim jak idzie wsycko. Mnie aż wos żol... Ale cóż pomóc ni moge, bo mnie aż ścisio kieł robię. A to lotego ze sycko takie marne, niecie kawie... Żeby to robić coś... coś takiego... bo jo wim — inakszego, wciąż nowego. Żeby czełk nie był więźnim, zapumniol że na brzuch tylko pracuje. Mówie sobie: „Jak nie bedziesz robiul — zdechniesz przecie” i nie pomogo.

— Boś się opróżniacul jak dziod. Folgowol ojciec — a ty rozpuściulś się i zskapcanioleś. Albo ty to znów inacyj chowany. Tylko że mosz inny pomysłunek.

— Jo miołbym tak siedzieć jak ty! Ze wstydu bym sie spaluł. Nie wytrzymołbym nawet.

— Albo to jo moge wytrzymać? Toż wisać sie chcio lem...

— Prawda może i ty nie taki szczyńśliwy... Ale bez coż chcioleś to zrobić? Co ci jeszcze zawodzi i co jeszcze chcesz od świata?!

— Wiele gadać. Najgorzy to nie robić. Aż mnie cholera bierze. No i to, że niby wam zawodzić trzeba... być jak pyr na polu. Cy chce co? Jo wim? Coś chce, ale nie wiem czego.

Coby to było, gdyby... mnie tak ktoś zabronił robić. Pazurami bym go darł. Oراع... rznąć złocistego zboża... Choć tyle się czełk nacieszysz... o bidzie zapomni! Orzesz na zboże, żeby urosło w pas bujne, narzniesz dużo kop, czekosz, żeby dobrze sypało. Najpirw słodko nadzieja, pózni radość zbiorym. Cieszy się ciek, co mówić, z byle i bławatu, że te kwiotki, osy, trzmile, na jego polu — jego są!

— Róbta se — rozeżlił się Józik — mnie ta to nie cieszy! I powlókł się w las, choć chmura wylazło corono i na burze się miało. A brat jak fryga wartki, znośił snopy, stawioł mendle, półkopki i myśloł, myśloł. I wymyśloł.

Za parę tygodni Józika już nie było w piosecu za stodołą, a wruny krakały ze trzy dni ze zdziwino że go tyż nima pod świrkim.

Wysłano go do miasta, na naukę.

Nie cieszuł się Józik, prawie markociul, ale pojechał. Przez parę lat ani go kto widziol na wsi, Bracia z roz tylko zajrzeli, a tylko stali mu pieniądze, jako że kolej była drożyńko.

Dopiro za parę lot przyjechał do ojca. Wystrychninty, elegancki i... wesoly. Chłopy się ni mogły wydziwować taki był fartki, obrotny, rozmowny. Nie długo chcioł tu bawić. Pojechał do miasteczka gdzie zakładać chce warsztat. Ludzie wiele o tym mówiu. Co z niego i za majster, taki próżnias. Roz dwa roboty na cas nie robi i kto do niego zaniesie!

Sami bracia nie dowierzali i tylko patrzyli, jak sie do nich wniesie i wybierze w pioch za stodołę. Ale sie wszyscy omylili. On robiul!

Ale jak robiul. Trzebaby chyba dwa razy dłuższego dnia żeby mu wygodzić. Wszyscy chwalu że robota nad dziw solidno. Nie tadyta a jakoś śtuka, majstersztik. Żeby tak wszyscy robili, toby w butach sie chodzilo po pię lot — i to jakich butach! A u branie by było nawet lo parobka jakby lo hrabiego... Cóż by to nie było na nie innym ale na tym, solidnym nie tandytym świecie. Ale to o Józiku mało. Sprowodzoł narzędzia jucho. Chce coś wymyślać som. Wynalazki cudowne. Mówiu, że już coś zrobiul, ale kto wi. To tylko pewne, że leb mo, kiedy dorobiul się majuntku (choc go pono chce wciąć w te maszyny), i to z nicego, z tego ze robote robiul starannie i wmg. I to wiadomo, że stary Ślusarski, dumny ze swego syna, opowiadol teraz z miną mądrali: Jo wom mówie. Są niby różne półgłówki, próżnioki huncwoły. I są to różne charaktery: malarze, pisarze, majstry. To darmo my ich do widel... Kuźdyn ma talent, tyn do rynki mu daj za młodzi. Próżniok, cym winkszy — tym bardzi bedzie harowol, im bardzi tylko ugodził mu w chyńci. Bedzie pracowity i szczyńśliwy — w tym calo rzec. Polska twórcy to urząd słuchajta chłopcy taki, co z lym do ty sprawy stanie a nie na świecie nie kopnie — niczyj sprawy nie pokpi.

Ale tyn groch z kapustu, przetrząchnie — wedle kształtu i maści ułoży i z niego zrobi ładną rzec. Jakby to rzec: z gałęziaków i rupieci podartych zrobić pasioł — deńc piękną ze ha!

W następnym numerze:

ANTONI OLCHA —

„Moje pole”

Głosy pisarzy

STANISŁAW SKONECZNY

WSPÓLNY WKŁAD

Nie zabierałbym głosu, tak jak nie zabierałem podczas sierpniowego zjazdu Pisarzy Chłopskich i na zebraniu organizacyjnym Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Pol., ale uważam, że powinienem, po pierwsze jako pisarz pochodzenia chłopskiego, po drugie jako b. żołnierz Polski Podziemnej. To, co dotychczas słyszałem, jest wielkim niezrozumieniem. Organizowanie się pisarzy chłopskich, to nie tworzenie odrębności klasowej. W naszym życiu literackim da to chłopu poczucie równości, ułatwi mu dostęp do ogólnonarodowej kultury. Pytam, czy chłop polski do 1939 r. brał w całej swej masie udział w życiu kraju, czy ten chłop czuł się współgospodarem, współbudowniczym i współtwórcą? Nie. Ale ten chłop składał ofiary z życia i mienia, żywił, bronił i tworzył.

Polska, to kraj chłopów, bo czyż robotnik nasz i inteligent nie jest w 90% pochodzenia chłopskiego? Nasz proletariatus jest młody, wytworzył się z masy bezrolnych i matorolnych chłopów, wędrujących po 1864 r. do miast za zdobyciem chleba. A dziś mówi się: chłopstwo, proletariatus, inteligencja. Jeden kraj, jeden naród. Są tylko różne warunki życiowe i różne środowiska.

Czy pisarze chłopscy zorganizowani w Oddziale Wiejskim Zw. Zaw. Lit. Pol. będą tworzyć w innym języku, nie polskim? Czy ich prace nie mogą wejść do bibliotek miejskich? Wejść, tak samo jak prace pisarzy inteligentnych i robotniczych do bibliotek wiejskich. A więc: wspólny wkład. Dlatego, mówiąc o jedności i wspólnotcie narodowej, trzeba chłopu otworzyć szeroko wrota do ojczyzny.

Kiedy mój dziadek szedł walczyć razem z innymi chłopami i szlacheciami w roku 63, czy szedł walczyć tylko za sprawę szlachecką? Albo tylko chłopską? Kiedy mój ojciec był sądzony w roku 1908 w procesie 52 przez Sąd Wojenny w Radomiu, to był sądzony za sprawę wyłącznie robotniczą? Kiedy ja, kaptowany przez kolegów w październiku 1939 r. by przedostać się z nimi za granicę, nie poszedłem, a zostałem w kraju, organizując pierwszy opór na swoich terenach, ścigany i tropiony od czerwca 1940 r., to dla jakiej sprawy to robiłem? inteligentkiej? Nie! Nie poszedłem za granicę, bo nie godziłem się na koncepcję „darowanej wolności”. Przystąpiliśmy wspólnie w listopadzie 1939 r. do budowy organizacji: chłopci, robotnicy, inteligenci. Nasze pismo „Wolność” docierało na terenie paru powiatów do rąk robotników, inteligentów, chłopów. Nasza organizacja obejmowała wszystkich. Chłopi, inteligenci, robotnicy ginęli, szli do obozów, w lasy za jedną wspólną sprawę. Później dopiero londyńska „apolityczna” polityka doprowadziła między nami do rozdziału. Ale i w Batalionach Chłopskich byli partyzanci i konspiratorzy, robotnicy i inteligenci, jak i w Armii Krajowej byli chłopci. To samo było i w A. L. W latach najczarniejszej nocy okupacyjnej 1940 — 42 i później 1943, 1944 r. chłop tkwił na równi z robotnikiem i inteligentem na posterunku, śmierci patrząc w twarz, z udanego wewnętrznego poczucia obowiązku walki z najeźdźcą. Patriotyzm chłopski sześciu lat wojny nie był rozbudzony przez inteligencję. Był samorodny, własny. Kto namawiał chłopów do zbierania po polach broni i amunicji w 1939 r. i ukrywania jej? I to nie tylko młodzież chłopską, ale starców i kobiety? — Na-

pewno nikt. Chłop chował, zbierał, bo myślał o walce, zbierał i chował, bo chciał tej walki, którą w parę miesięcy po wrześniu rozpoczął i prowadził do końca. Pierwsze bojówki, pierwsze oddziały partyzanckie zostały uzbrojone tą bronią.

Kto dawał schronienie, pomoc i informacje oddziałom partyzanckim B. Ch., A. K., A. L. i skoczkom radzieckim? Chłop. Cały ciężar walki partyzanckiej spadł na chłopów. I trzeba było go widzieć wówczas, jego serdeczność, radość na widok „chłopców z lasu”, tych jego „deskantów”, „bażantów” jak przyjmował, jak pomagał, choć wiedział że za dwie, trzy godziny może cała ludność wsi zginąć wśród płomieni w trakcie karabinów maszynowych niemieckiej żandarmarii i granatowej policji. A Bataliony Chłopskie? Krew z krwi, kość z kości chłopskiej, szły w bój bez żadnej pomocy, o własnych siłach. Nie miały zrzutów, nie miały funduszy, musiały wszystko zdobywać na wrogu. Czy kto je zmuszał do walki, agitował? Nie! Szły w pełni zrozumienia potrzeby i konieczności walki z okupantem. A sprawa kontyngentów? Jaki stawiał chłop opór okupantowi, opór wybiegów! Ile razy w roku był bity przez karną ekspedycję? Ile razy w mroź, zawięje, deszcz uciekał z krową, owcą czy świnia, by nie nie oddać wrogowi? Jak było odstawiane zboże, kartofle, mleko, kontyngent żywy? Trzeba było być na wsi podczas okupacji i tkwić wśród chłopów, dzielić z nim złe i dobre, by móc to wszystko zrozumieć i docenić.

Trzeba było słyszeć słowa radości: „no, ale nase chłopki złoty schabów”, albo słowa smutku: „pod Dąbrowką zginęło dużo chłopków podobno, ale i schabów też zginęło”. Pamiętam, gdy z wiosną 1944 r. nasze oddziały B. Ch. zaczęły urządzać wiece po wsiach, jaki był entuzjazm! nikogo „ze wsiów” nie brakło. A później, po lipcu kiedy front zatrzymał się nad Wisłą, ucieczka z krowami, owcami, świniami do lasów pod silnym ostrzałem konnych łapaczy. Dołowanie zboża po nocach i kartofli, tok żeby wróg nie mógł odnaleźć i zabrać. Ale dla partyzanta po wsiach było wszystko. Czy oddziały B. Ch. i placówki konspiracyjne walczyły wówczas jedynie o swoje klasowe interesy? Walczyły o wspólną sprawę! Polskę Demokratyczną.

Pisaliśmy w mrokach konspiracji, w walkach partyzanckich wspólnie krwią i kulami wielką powieść i wielki poemat: Polska. Teraz, kiedy nadszedł czas, by budować jedność narodową, zarzuca się pisarzom chłopskim klasowość. Niestusne i krzywdzące. Świadomi swej społecznej równości — chcemy w atmosferze zbiorowego skupienia i wysiłku nad sprawami, których za nas nikt ani nie powinien ani nie będzie chciał zrobić — wieść razem z pisarzami pochodzenia robotniczego i inteligentnego nasz wkład w rozbudowę kultury ogólnopolskiej. Chcemy dokończyć wspólnie dzieło rozpoczęte w latach okupacji: budowę Polski Demokratycznej.

Zorganizowanie Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, to fakt o historycznym znaczeniu. Oto chłop w zgodzie z resztą narodu zaczyna rozbudowywać swoje życie na wszystkich odcinkach. Nie poszła na marne krew bojowników B. Ch., A. L. i synów chłopskich walczących w szeregach A. K.

W rocznicę wielkiego przewrotu

7 listopada 1918 r. po długim okresie fermentu rewolucyjnego władza w Rosji przeszła w ręce komunistów. Dalsze walki z przeciwnikami politycznymi trwały jeszcze dłuższy czas, ale ani razu już rząd sowiecki nie został przez wrogów wewnętrznych i zewnętrznych usunięty od władzy. W pierwszym rządzie zwycięstwo rewolucji było owocem genialnych planów Lenina, których realizacji dopomogło bezholowie panujące w obozie przeciwników. Walną pomocą był dla Lenina sztab rewolucyjny, złożony z nieprzeciętnie uzdolnionych ludzi, między którymi znajdował się również nasz rodak Dzierżyński. Sztab ten jednak składał się z elementów różnorodnych, między którymi po śmierci Lenina zarysował się ostry podział na trzy wzajemnie się zwalczające grupy: „trockistów” (t. zw. „lewy ułkon”), „bucharinowców” (t. zw. „prawy ułkon”) i „stalinowców”, którzy w ostatecznej rozgrywce odnieśli zwycięstwo i utrzymali się przy władzy.

Czynnikiem, który w najważniejszym stopniu zdecydował o zwycięstwie leninowskiej rewolucji, był poza samą osobą twórcy nowej Rosji zdrowy instynkt społeczny ludu rosyjskiego, który pchnął do popierania przewrotu najinteligentniejszą i najwartościowszą moralnie część armii, proletariatu miejskiego i chłopstwa. Trzeba przyznać, że obóz przeciwny komunistom nie przedstawiał takiej siły atrakcyjnej jak oni, gdyż reprezentowała go jedynie monarchistyczna klika carskich generałów i mętna ideologicznie lewica mieszczańska, kierowana przez patetycznego komedianta Kiereńskiego. Rzecz jasna, że w tym układzie stosunków Lenin miał najwięcej szans na pozyskanie sobie zwolenników wśród najwartościowszej części społeczeństwa rosyjskiego.

Dzieło utrwalenia rewolucji i przebudowy Rosji z zacołanego i wyniszczonego złą gospodarką a następnie długą wojną kraju na nowoczesne państwo, będące w tej chwili jednym z trzech głównych mocarstw, przypadło w udziale generalissimowi Stalinowi. Rozgrywka wojenna z hitleryzmem wykazała wartość bojową armii sowieckiej, ale pokojowe dzieło socjalistycznego budownictwa, dokonane pod osobistym kierownictwem Stalina, jest jeszcze bardziej imponujące i ono to w pierwszym rządzie zdecydowało o zajęciu przez Sowiety ich obecnego stanowiska w świecie współczesnym.

Stosunek nasz do ZSRR od wojny 1920 r. był naogół nieżyczliwy. Dziś czas zerwać z dawnymi nalogami uczuciowymi i spojrzeć na naszego wielkiego sąsiada bez uprzedzeń. Wiele od nowej Rosji możemy się nauczyć, niezależnie od takich czy innych poglądów na formy ustrojowe Sowietów i ich ideologię polityczną.

Rola rewolucji sowieckiej w historii naszego stulecia będzie chyba jeszcze donioślejsza niż rola Wielkiej Rewolucji Francuskiej w dziejach dziewiętnastego wieku. Gdyby dziś jakiś niesłychany kataklizm pograżył cały teren ZSRR — jak niegdyś legendarną Atlantydę — w falach oceanu, to jednak idee polityczno-społeczne sformułowane przez Marksa, a realizowane praktycznie przez Lenina i Stalina nie przestałyby wywierać głębokiego wpływu na życie współczesnych społeczeństw.

Przed wojną mówiło się u nas o „sowieckim eksperymencie”. Dziś, w nową rocznicę sowieckiej rewolucji, powinniśmy zdać sobie sprawę z faktu, że stoimy wobec nie żadnego eksperymentu, ale kolosalnej miary osiągnięcia. Nowa Rosja nie jest już carskim „olbrzymem na glinianych nogach”, ale nowoczesnym potężnym państwem. Świadomość tej wielkiej przemiany, jaka jest dziełem socjalistycznego budownictwa sowieckiego, oraz świadomość doniosłej roli ZSRR w życiu współczesnego świata powinny wyznaczać nasz stosunek do sąsiadującego z nami mocarstwa.

Adam Polańczyk

O wierszach Stanisława Piętaka

Zamieszczone w poprzednim numerze „Wiś” wiersze wybrane Piętaka — wszystkie sześć wyjątków — mają jedną cechę wspólną — ROMANTYZM. Ale nie romantyzm w znaczeniu rozwinętego uczuciowego, nie w znaczeniu metafizycznym, czy wizjonerskim — a w sensie poetyckiego na świat patrzenia. W tym cyklu odżyły typowe motywy romantycznej poezji: zrealizowane przecucie śmierci („Niebo”), wizyjny sen młodzieńca („Sen chłopca”), spotkanie dwójga kochanków nocą („Nad rzeką w nocy”), samozachwycenie poety, ukrytego przed oczyma ludzi („Noc letnia”), wreszcie dzieje miłości na tle tragicznych wydarzeń współczesnej historii (fragment poematu „Zbieg”). Ale co za różnica! Temat „Nieba” pokrywa się z treścią sławnej ballady Goethego; ale tam dziecko z rąk ojca wyrwał „Król olch” i jego widmowe córki — u Piętaka po prostu piorun — tragiczny przypadek — zabija ogarniętego duchowym niepokojem Jasia. Chłopiec i jego nieboga „Nad rzeką w nocy” to nie jakaś zaświatowa „Świtezianka” i bliżej nieokreślony „Strzelec”, spotykający się w nierealnej fantazyjnej rzeczywistości gdzieś poza czasem i krajem — a dwoje młodych współczesnych chłopów, i prawie pewni jesteśmy, że to się zdarzyło we Wie-

lowi pod Sandomierzem. Tam właśnie, w swojej rodzinnej wsi, ukrył się poeta „wśród kwiatów jak myś”, a nie „leży na obłoku roztopiony w ciszę”, jak jego patetyczny poprzednik słowotę Ujejski, w analogicznym wierszu. I oto klucz do poezji Piętaka, wyjaśniający dlaczego w tych tak nielirycznych czasach uderza ona i zastanawia bardziej niż wszelka inna współczesna liryka, budząca co najwyżej estetyczne i intelektualne skojarzenia. To połączenie KONKRETU, rzeczywistego chłopskiego widzenia, z tradycyjnymi, romantycznymi tematami WIELKICH EMOCJI LUDZKICH. Nie tylko „reszta z romantyzmu” — nie styka się w tym miejscu Piętak, ale i z światem PIEŚNI LUDOWEJ. To sprawia, że poezja Piętaka nabiera nowego społecznego, niejako pedagogicznego znaczenia. Godzi ona bowiem charakterystyczną dla chłopskiego czytelnika skłonność do kontemplacji, do analizy przeżyć wewnętrznych, do przypisywania zasadniczego znaczenia „duszy” — z realistycznym, nieabstrakcyjnym, nowoczesnym ujęciem tych stanów uczuciowych. Likwidując „duchowe” głupstwa naśladowców romantyzmu, jest to poezja zarazem bliska chłopskiemu rozumieniu, i w gotującej się batalii o nowy typ chłopca, w tej wielkiej wal-

ce o dusze „psychomachii kulturalnej” ma ona może do odegrania, w ręku mądrego nauczyciela, rolę wydatniejszą, niż jakakolwiek inna.

Ta sama „dwoistość”, połączenie przeciwstawnych elementów cechuje i formę Piętaka. Liryczność mierza się u niego z epiką, doznawanie z opisem, wrażliwość z obrazem świata rzeczywistego. Dobitnie widać to we fragmentach poematu „Zbieg”, gdzie pierwszy rozdział maluje przeżyte przez poetę piękno wiejskie, — zaś drugi daje obraz pożegnania bohatera z narzeczoną Różą. Łączy Piętak zdobycze nowoczesnych kierunków poetycznych, np. awangardy — posługując się właściwym temu stylowi rwącym się biegiem skojarzeń — z tradycyjną, gdzieś tam klasyczną strofą. I to sprawia, że nie należy do reakcji poetyckiej, jak inni współcześni lirycy, którzy pochopnie wyzekli się osiągnięciem nowej poezji, uracając do martwego gadulstwa sprzed lat 20-tu. Ma on więc rysy wspólne z „lenartowiczowskim” Frasiakiem i z poszukiwaczem form Przybosiem. Ale gdy Frasiak jest lirykiem-urazliwcem, grającym na jednej strunie, gdy Przybosi jest intelektualnym, świadomym układaczem słów — to Piętak — PIEŚNIARZEM, i to reprezentantem tej pieśni, która ma być arką między latami, bo „uszła cała”.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

FAKTY I ZDANIA

OPERACJA „ORZEŁ”

(Polacy z brytyjskiej strefy okupacyjnej wracają do kraju)
14 października przybył do Szczecina pierwszy, 3.900 ludzi liczący transport Polaków powracających do kraju z brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech.

Repatriacja Polaków odbywa się w ramach operacji zorganizowanej i planowanej wojskowo. „Operation Eagle” (operacja „orzeł”) — tak brzmi kryptonim sztabowy tej akcji, która wymagała tygodni starannego planowania. Etapem pierwszym jest przewiezienie repatriantów, rozsiadanych po różnych obozach, do jednego punktu zbornego w Lueneburgu. Tam formuje się właściwa kolumna transportowa, która wyrusza następnie „marszem podróży” przez Hamburg do Szczecina. W Szczecinie jest baza końcowa marszu. Obok punktu etapowego PUR-u znajduje się tu kwatery sztabu angielskiego, kierującego operacją.

Transport i zaopatrzenie w żywność zorganizowane zostały przez brytyjskie władze okupacyjne. Opieka ta trwa do chwili przekazania repatriantów oddziałowi PUR-u w Szczecinie, przy czym repatrianci otrzymują jeszcze od Anglików przydział żywności na drogę powrotną do domu.

Do wykonania tej akcji władze brytyjskie przeznaczyły 1.000 samochodów transportowych i odpowiednią ilość pojazdów dodatkowych.

„Operation Eagle”, będąca rzeczywistym dowodem prawdziwej przyjaźni i braterstwa broni polsko-brytyjskiego, niewątpliwie pozostawi u wszystkich repatriantów wspomnienie troskliwości o ich los ze strony władz brytyjskich i przyczyni się do zacieśnienia węzłów przyjaźni, zadziergniętych w czasie wojny, jakie toczył żołnierz, marynarz i lotnik polski obok swego brytyjskiego towarzysza broni przeciw wspólnemu wrogowi i najeźdźcy.

Repatriacja Polaków z Niemiec stanowi dopiero pierwszy etap w załatwieniu tego problemu. Oprócz bowiem Polaków przebywających w Niemczech, istnieje wielotysięczna masa Polaków na wyspach brytyjskich, którzy również powinni jak najszybciej powrócić do kraju.

BEVIN O GDAŃSKU

Opinia polska trwa w przekonaniu, że polskość trzech portów bałtyckich: Gdańska, Szczecina i Kołobrzega, jak również wszystkich terenów odzyskanych, nie może budzić zastrzeżeń i nie może być przedmiotem targów na giełdach politycznych świata.

W sprawie Gdańska brytyjski minister spraw zagranicznych Bevin w mowie wygłoszonej na posiedzeniu Izby Lordów, wypowiedział się następująco:

„Sytuacja prawna wolnego miasta Gdańska jest — z punktu widzenia Rządu Jego Królewskiej Mości — niezmienną i pozostanie taką nadal do chwili dokładnego jej określenia w traktacie pokojowym. De facto położenie Gdańska jest takie, że miasto to oddane zostało pod zarząd Polski na mocy układu między Rządem Jego Królewskiej Mości i Rządem Sowieckim, zawartego na konferencji w Poczdamie”.

Brytyjska Ambasada w Warszawie cytując słowa Bevin podaje taką ich interpretację:

„Z tych słów jasno wynika, że brytyjski minister spraw zagranicznych, ani też nikt inny, nie usiłował twierdzić, jakoby Gdańsk nie był miastem polskim, ale tylko, że de iure sytuacja Gdańska — jak zresztą wielu innych części Europy — musi pozostać niewyjaśniona, aż do chwili zawarcia ostatecznego traktatu pokojowego”.

Poza Gdańskiem istnieją jeszcze na Pomorzu dwa wielkie porty polskie: Szczecin i Kołobrzeg oraz rozległe tereny mazursko-warmińskie, nadodrzańskie i śląskie. Dobrze byłoby, gdyby politycy angielscy zechcieli zająć w tej sprawie stanowisko jasne i wyraźne, zgodne z interesami narodu i państwa polskiego, zwłaszcza, że interesy te w obecnym układzie stosunków idą po linii ogólnoeuropejskiego pokoju i bezpieczeństwa. Żadne uprzedzenia światopoglądowe nie powinny odgrywać roli w tym wypadku, gdy w grę wchodzi oddanie sprawiedliwości narodowi, który pierwszy rozpoczął walkę z faszyzmem i w walce tej ponosił największe ofiary.

WYCZYNY „BRACI — CZECHÓW” NA ZAOLZIU

Niepokojące wieści o wyczynach Czechów na Zaolziu nie znikają ze szpalt gazet. Dzieja się tam rzeczy zdumiewające. Oto fakty z ostatnich dni:

Władze czeskie wydały rozkaz usunięcia napisów polskich z sztyków — i to nawet w miejscowościach do tego stopnia polskich, że ludność wprost po czesku nie umie mówić. Rozkazu takiego Zaolzie nie znano nawet do 1938 roku.

Na zebraniu profesorów i nauczycieli, czeskich jakie odbyło się niedawno w Cieszynie, uchwalono rezolucję, która głosi: „nauczycielstwo czeskie uważa, że obecnie

szkoły polskie na Zaolziu nie dają rękojmi wychowania w obywatelskim duchu państwowym”. Nie dość więc Czechom, że na Zaolziu szkół polskich prawie nie ma, nawet przedszkoli i szkół zawodowych, że polskie budynki szkolne zajmują dotychczas władze czeskie, że żaden z nauczycieli polskich nie otrzymał dotąd pensji — uchwalają rezolucję, które zapowiadają akcję tępienia polskości na szerszą skalę.

Nie mogą nam być obojętne ani podobne zarządzenia czeskie, ani podobne rezolucje, ani wzmagające się na Zaolziu aresztowania Polaków.

Powinniśmy i my przyjąć ostrzejszy ton. Miara jego niech będzie rezolucja delegatów kół Związku Samopomocy Chłopskiej powiatu cieszyńskiego:

„Delegaci kół Związku Samopomocy Chłopskiej, pow. cieszyńskiego zebrani na walnym zebraniu w Cieszynie pozdrawiają swych braci na Zaolziu i wyrażają pełne uznanie dla ich hartu narodowego i zapewniają ich, że o nich pamiętają. Polepiają niesławiańskie postępowanie szowinistów Czechów w stosunku do naszych rodaków. Domagają się, aby nasz Rząd Jedności Narodowej spowodował najszybszy powrót naszej ziemi zaolziańskiej do macierzy”.

Z. S.

CHŁOPSKIE WĘGRY

Europa żyje pod wrażeniem odbywających się w coraz to innym państwie wyborów.

Ostatnio przyniosły, dzienniki i radio wiadomości o poważnym zwycięstwie węgierskiej partii drobnych posiadaczy, którzy według ogólnych obliczeń otrzymali 486 tysięcy głosów na 812 tysięcy ważnych.

Jeżeli się zważy, że zawsze dotąd utrzymywała się na Węgrzech przewaga wielkich posiadaczy, ostatnie wybory wskazują na zwycięstwo demokracji chłopskiej, co w kraju o strukturze rolniczej jest zupełnie zrozumiałe.

Węgry zniemczonej magnaterii wielkoziemiańskiej skończyły się raz na zawsze. Zmora feudalnej tyranii nie powróci już na żyzne równiny naddunajskie, władzę nad którymi obejmuje dziś uciskane przez tyle stuleci chłopstwo węgierskie.

W. J.

*

„ODRA” PISZE...

W związku z atakiem „Kuznicy” Nr. 8 na nasze pismo, przedrukujemy charakterystyczną wypowiedź śląskiej „Odry” (numer 8 z dnia 5.11. br.).

„Adam Ważyk w sposób niepoważny jak zwykle, w artykule pt. „Mitologizacja wsi”, zamieszczonym w łódzkiej „Kuznicy”, zaatakował ruch literacki chłopski. Ostatecznie mógł mieć pewne zastrzeżenia natury literackiej a nawet ideowej. Pewne jednak chwytły polemiczne Ważyka, za którymi prócz uśmiechniętej twarzy złośliwego doktrynera jest być może pustka, godne są gorącego napiętnowania.

Już na zjeździe Literatów w Krakowie padły podobne oskarżenia pod adresem grupy literatów chłopskich, związanych nie tylko pochodzeniem ale i wspólnymi obowiązkami. Już wtedy gorliwi fakirzy, nazywający siebie nieślusnie dzisiejszą lewicą, wmawiali młodym, piszącym chłopom zaściankowalność polityczną, reakcyjny szowinizm. Myślimy odkryli marksizm dla Polski — wołają po dziś dzień, wychowani w mieszczańskich pierzynch. Zapominają, że chłop polski wcześniej od nich odkrywał marksizm, badał go i poznawał. Ważyk odważa się na zestawienia, które nie należą już nawet do kategorii chwytów polemicznych a są prostymi insynuacjami. Ważyk pisze, że „bajdurzenie o szczególnym powołaniu wsi do twórczości kulturalnej” ów „temperament i krzepa, instynkt i żywioł, gleba i podglebia, po niemiecku nazywa się znacznie krócej: „Blut und Boden”. Co Ważyk może wiedzieć o podglebiu i chłopskiej krzepie, skoro tak łatwo jej porównuje z hitlerowskim sloganem? Ważyk występuje w imieniu lewicy, wystąpienie to zaszczytu jej nie przynosi. Chłopi zawsze byli lewicą, ich radykalizm społeczny zawsze był największy ale radykalizm kończy się tam, gdzie kończy się wolność narodu. Kto dalej idzie, ten teoretycznie może być marksistą, ale praktycznie zaprzecza np. demokracji radzieckiej, która pragnie wolność narodów i państw cenić i szanować.

Chłopska rzeczywistość nie daje spać zaklinaczom węzów spod znaku „Kuznicy”. Drażni ich chłopski temperament. Czyżby się go bali? Razi ich surowość i występująca jeszcze tu i ówdzie nieporadność chłopskiego poetyckiego słowa. Czyżby ich mowa była salonem mieszczańskim, gdzie każde wyrażenie owija się w naperfumowaną chusteczkę? Mówią dużo o swoim marksizmie. Czyżby drżeli na myśl, że możemy o tym zapomnieć, biorąc ich mylnie za reakcję?”

W następnym numerze dokończenie pamiętnika Macieja Szarka

oraz artykuł doc. dr Józefa Spytkowskiego o Szarku

PORANEK POEZJI CHŁOPSKIEJ

W krakowskim Starym Teatrze odbył się niedawno poranek poetycki członków Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Poprzedzając recytację — prezes Oddziału Wiejskiego Jan Wiktor powiedział, że w nowej twórczości chłopskiej zarysowuje się „dążenie do nowego tonu, do nowej poezji, która jest zaprzeczeniem izaowości i fujarkowości”.

„...poezja musi zobaczyć i związać się z olbrzymimi dziedzinami odradzającej się wsi”... „Z dzisiejszych czasów musi się zrodzić książka, mająca kształtować jutrzejsze pokolenie”... „Zatrzasnąc drzwi nad przeszłością, niosącą przypomnienie krzywd, rodzących nienawiść i zemstę odbierającą siły twórcze. Ta książka, na którą czeka czytelnik, nie będzie boleścią, rozpaczą, przekleństwem, nie będzie załamaniem rąk, skowitem na cmentarzach, nie będzie bezpłodnym przypominaniem krzywd, rozdzieraniem ran, nie będzie budzicielką upiorów, ale będzie mocą woli, niezlomnością charakterów zdobywczych umysłów, a każde jej słowo będzie okute wiarą, rozpalone entuzjazmem”... „Dzisiejsze pokolenie czeka na książkę tworzącą wielkość duszy, będącej częścią wielkości Polski”...

Kto był 28.X. w sali Starego Teatru, albo kto czyta stale „Wieś”, wyczuje odrazu zerwanie z poezją „od siedmiu boleści narodowych”.

Widać to zerwanie poczynając od awangardyzującego Władysława Machajki, poprzez pełne dynamiki wiersze Pawła Kubisa i Ozgi-Michalskiego, fantazjo tworzącą lirykę Stanisława Piętaka, liryki Józefa Andrzeja Frasiaka i Jana Baranowicza, liryzującą epikę Czesława Janczarskiego, utwory Jana Bolesława Ożoga, Edwarda Marca aż do klasycyzującego Władysława Milezarka.

Łatwo również zauważyć, że w poezji chłopskiej panuje bogactwo stylów. Nie ma chyba rodzaju literackiego nie reprezentowanego przez poetów „Wsi”.

W. J.

SPROSTOWANIE

Do artykułu mego „Znaczenie marionetek dla wsi” (w Nr 15 „Wsi” str. 7, szpalt 11 wkradła się pomyłka. Nie Ludwik Szczepański, redaktor „Życia”, ale Alfred Szczepański (1845—1909) tajny komisarz cywilny miasta Krakowa, w czasie powstania r. 1863, skazany na 20 lat twierdzy Spielbergu, późniejszy długoletni prezes prasy zagranicznej w Wiedniu, był posłulatorem odrodzenia ruchu marionetkowego w Polsce. Wydał on w tej sprawie dwie broszury w r. 1897. Dr Jan Sztandynger

MATERIAŁY W REDAKCJI

Jan Wiktor: nadesłał szkic literacki p. t. „Zagadnienia literatury chłopskiej”.

Andrzej Jaworski: nadesłał cykl wierszy białoruskiego poety Maksyma Tanka w przekładzie polskim.

Zdzisław Jerzy Kempf: nadesłał wiersze bułgarskiego poety Iwana Wazowa w przekładzie polskim.

B. M. Soczyński: nadesłał pamiętnik nauczyciela p. t. „Mój świat”.

F. Kirlo - Nowaczyk: nadesłał pamiętnik p. t. „Jeden rok na szkolnej grzędzie”.

NUMER 16 „WSI” ZAWIERAŁ:

Jan Aleksander Król: „Z Wincentym Witosem odchodzi cała epoka dziejów wsi polskiej”. Stefan Lichański: „Monopolistyczny postęp”. Jan Krokwa: „Prawda o Śląsku”, część I. Stanisław Pięta: „Niebo”. „Wesele”. „Sen chłopca”. „Nad rzeką w nocy”. „Noc letnia”. „Zbieg” (fragment poematu). Jan Wiktor: „Rozważania o literaturze” — fragmenty z „Zapomnianych źródeł”. Teodor Goździkiewicz: „Matka” (fragment z powieści pt. „Głos z daleka”). Zdzisław Hierowski: „Pomocy pionierom”. Zygmunt Kalużyński: „Jeszcze o „Dożynkach” Anny Kamińskiej. Piotr Stopczyński: „Kębliny w oberku”. Fakty i zdania.

WARUNKI PRENUMERATY:

Numer pojedynczy 5 zł

Miesięcznie 18 zł

Kwartalnie (za 13 numerów) 52 zł

Półrocznie (za 26 numerów) 95 zł

Wpłacać należy na adres:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Dział prenumerat, Łódź, Piotrkowska Nr 62 (z zastrzeżeniem „na tyg. „Wieś”).

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król. KOMITET REDAKCYJNY TERENOWY: Śląsk — Kubisz Paweł, Podhale — Nedza-Kubinec Stanisław, Krakowskie — Frasiak Andrzej, Kieleckie — Pięta Stanisław, Lubelskie — Pokora Leon (ze „Wsi Tworzącej”), Warszawskie — Kubicki Marian, Łódzkie — Bojar Józef.

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96.

Drukarnia: Łódź, Żwirki 2.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł.

w Spółdz. wyd. „Czytelnik”. D—06052